



Gawalewicz M.

Korzeniowski o sobie.



SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

Z ROKU 1897.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

Historya.

	Str.
Pierwotna germanizacya Słowian pomorskich — przez J. Kochanowskiego	137 i 265
Na dworze Władysława IV — przez Dr W. Czermaka	315
Kierunki nowożytne polityki francuskiej — przez Szymona Askenazego .	381

Szkice polityczne.

W sprawie naszego Kościoła — przez A. Rembowskiego	439
--	-----

Kwestye społeczne, prawne i ekonomiczne.

Kredyt przemysłowy — przez St. A. Kempnera	223
O terminowym handlu zbożem — przez Józefa Jeziórańskiego	448

Literatura.

	<i>Str.</i>
W „Wielgiem,” powieść — przez Maryana Jasińczyka	1, 189 i 406
Nieznana komedia Aleksandra Fredry	61
Z liryki — przez u	131
Na morzu, fantazya — przez M. Tatarkiewicza	157
Przystań (poezja) — przez Lucyana Rydla	265
Młodość (poezja) — przez St. Rossowskiego	391
Strofy (poezja) — przez M. Tatarkiewicza	515

Studia i szkice literackie i artystyczne.

„Quo vadis“ Henryka Sienkiewicza — przez Władysława Bogusławskiego	94
Piśmiennictwo angielskie w roku 1896 — przez E. S. Naganowskiego	296
Korzeniowski o sobie — przez M. Gawalewicz	482
Ruch literacki za granicą — przez Lucyana Rydla	535

Nauki przyrodnicze.

Przed sklepem mechanika, uwagi luźne o znaczeniu przyrządów w nauce — przez Stanisława Kramsztyka	343
--	-----

Krytyka.

Karol Potkański „Postrzyżyny u Słowian i Germanów;” — Dr L. Zakrzewski „Die russische Bauernbank mit besonderer Berücksichtigung des Königreichs Polen;” — Teodor Wierzbowski „Stanisława Orzechowskiego książki o ruszeniu Ziemi Polskiej przeciw Turkowi;” — Prof. Franciszek Piekosiński „Jeszcze o ustawodawstwie Wiślickopiotrkowskiem króla Kazimierza Wielkiego;” — Dr Szeliga „Reforma uniwersytetu wileńskiego i szkół jemu podwładnych za rektora Twardowskiego;” A Pawiński „Odpowiedź według obyczaju rycerskiego w prawie polskiem — przez Al. Rembowskiego 161, 165, 168, 364, 366, 554	
---	--

Literatura handlu terminowego: Fuchs. Der englische Getreidehandel (w rocznikach Conrada za r. 1890, II Folge, tom XX, str. 1). Der Warenterminhandel (w rocznikach Schmollera za rok 1891. Zeszyt 1, str. 49). Kohn. Der Getreideterminhandel, Leipzig, Duncker & Humblot, 1891. Werner Br. Handel zbożowy terminowy i neurodzaj. Ateneum, 1891, t. IV, str. 534. Claudio Jannet. Le Capital. Paris, Plon., 1892 Grünwald & Lilienthal. Zum Terminhandel an der Berliner Productenbörse, Berlin - Lazarus, 1892. Smith: Commercial Gambling, London, Low, 1893. Wiedenfeld: Der deutsche Getreidehandel (w rocznikach Conrada za rok 1894, III Folge, tom VII, str. 181, 360, tudzież za rok 1895, III Folge, tom IX, str. 337, 641). Staatswörterbuch Conrada. *Artykuły następujące:* 1. Struck; Börse, tom II, str. 671. 2. Börsengeschäfte, tamże, str. 681. 3. Börsenspiel, tamże, str. 695. 4. Lexis. Getreidehandel, tom III, str. 861. 5. Technik des Getreidehandels, tamże, 867. 6. Jellos. Der Getreidehandel in Russland III, 872. 7. Juraschek. Statistik des Getreidehandels, III, 870. 8. Weber. Börsenwesen, I SpBd., str. 241. 9. Wiedenfeld. Getreidehandel, SpBd. I str. 345.

Schumacher: Der Getreidehandel, in d. Verein. Staaten v. Amerika (w rocznikach Conrada, 1896, III Folge, tom X, str. 361, 801; tom XI, str. 35, 161). Apt. Das Börsengesetz, Berlin, Decker, 1896.

Korzeniowski o sobie.

(z nieznanych materyałów).

Okrągłe stulecie przetoczyło się pomiędzy chwilą obecną a dniem 19-ym marca 1797 roku, w którym Józef Korzeniowski w małym folwarczku, pod Brodami w Galicyi, na świat przyszedł. Sto lat minęło właśnie od jego urodzin, a trzydzieści cztery upływa od śmierci; schorowany, męczony dusznością astmatyk, po kilkakrotnem zapaleniu płuc umiera w Dreźnie 17-go września 1863 roku, poświęciwszy przeszło czterdzieści lat ze swego czynnego i pracowitego żywota literaturze ojczystej.

Zostawia po sobie około sześćdziesięciu utworów dramatycznych i ze dwadzieścia powieściowych większych rozmiarów, oprócz wielu drobniejszych obrazków, opowiadań i szkiców. Wartość ich różna; nierówna, zmienna, w tem i owem dziele zadawniona, ale gdy się zważy, że powstawały one jeszcze w epoce, gdy się nowsza nasza belletrystyka i repertuar oryginalny dopiero tworzyły, trzeba z czcią i uznaniem spoglądać na tego pisarza, który miał nie jedną zasługę w tem, że tę literaturę, co uczyła dwa poprzednie pokolenia czytać, myśleć i czuć, wraz z innymi tworzył, rozwijał, podnosił i niepospolitym talentem swoim uświetniał.

Tem większy obowiązek ma potomność względem autora „Spekulanta“ i „Karpackich górali“ po jego śmierci, że za życia współcześni nie byli dla niego dosyć sprawiedliwi i wyrozumiali, że sąd o nim bywał dość długo zamącony a obrachunek z człowiekiem i pisarzem nie dosyć ścisły i rzetelny.

Jeszcze w roku 1835 Juliusz Słowacki, pisząc do matki z Genewy, w ten sposób odzywa się o Korzeniowskim: „Mówiąc o sławnych ludziach, zapytam o jednego, który ma do sławy prawo. Co się dzieje z autorem „Prób dramatycznych“? Jego „Anieli“ często mi przychodzi na pamięć, jak sen jakiś smutny i miły. Chciał-bym bardzo wiedzieć, czy zawsze pracuje, czy może pracować i nad czem pracuje?.. Jest to jeden z tych ludzi, którym dotąd nie oddano słuszości, potrzeba-by mniej być w pochwałach oszczędnym“.

Potrzeba-by mniej być w pochwałach oszczędnym, — „a w naganiach ostrożniejszym“, mógł-by był dodać wielki poeta, gdyby miał przeczucie dalszych losów i stosunku do krytyki pisarza, któremu często laury cierniami do skroni przyczepiano i nadto długo kazano czekać na takie uznanie, na jakie zasługiwał.

Kapryśny los każe jednym mozolnie dobijać się do stanowiska, rozgłosu i należytej sławy, którą innym przedwcześnie nieraz sam gotuje, otwierając im szeroki kredyt na rachunek przyszłości. Korzeniowskiemu przeznaczył tę pierwszą rolę, jakby skąpił i opaźniał umyślnie należną wypłatę, zatrzymując nawet pewną część na likwidację pośmiertną.

Jak w każdym zawodzie, tak i w literackim, nie dosyć mieć zdolności, najlepsze chęci, pracowitość, pewien zapas życiowego i duchowego kapitału, energię i wytrwałość, wiarę w siebie i w cel, do którego się dąży, trzeba jeszcze mieć i szczęście, i sprzyjające warunki, aby dojść do czegoś, stanąć na własnych nogach, wybić się i podnieść na pewne wydatniejsze stanowisko, do którego się ma prawo.

Korzeniowski to prawo miał niezaprzeczenie, a jednak szło mu opornie, ciężko, zwłaszcza w początkach zawodu; brakowało dostatecznej zachęty i podniety, by się wcześniej dźwignął i urósł do tej miary, jaka mu była właściwą.

Były tego przyczyny zewnątrz, ale i wewnątrz niego samego.

Piotr Chmielowski w swoim wybornem studyum o autorze „Żydów“ i „Krewnych“, nader trafnie to określił, mówiąc: „Do zajęcia przodującego, kierowniczego stanowiska w literaturze i społeczeństwie przeszkodził mu brak ducha inicjatywy i brak śmiałości, podobnie jak Brodzińskiemu“. Leżało coś w charakterze i usposobieniu jego, co mu nie pozwalało zawsze postawić tego całego kroku naprzód, by wyprzedzić innych, choćby był mógł to uczynić.

„Ja taki jestem tchórz, że zupełnie sobie nie wierzę“, — pisał w jednym ze swych listów do Antoniego Benzy, artysty sceny lwowskiej, który ożeniony był z bliską krewną jego, Józefą Rożańską; należał do tej większości autorów, którym potrzeba dobrego słowa zachęty, życzliwości, ciepła, pochwały, aby szli naprzód i ośmieleni tworzyli coraz lepiej, których talent ma ową sprężystość gazu, rozszerzającego się i lotniejszego w podniesionej temperaturze, a kurczącego się w chłodnej.

Nagana zrażała go i onieśmiałała, kępowała i dotykała boleśnie, pochwała na odwrót ożywiała nowym duchem i podniecała do twórczości; przyjmował ją bez zarozumiałości, ale z wdzięcznością, jak łaskę, jak przyjazną dłoń z braterskim uściskiem. Do tegoż samego Benzy, gdy mu posłał nadto pochlebną recenzję Dobrzańskiego Jana o wystawionym we Lwowie „Starym mężu“, pisał: „Dziękuję, po stokroć dziękuję za te wiadomości. Po każdym twoim liście nowa przychodzi ochota i nowy powstaje dramat. Tak się zrodzili „Umarli i żywi“ po odebraniu wiadomości o „Góralach“ (Karpackich), „Stary mąż“ po wiadomości o „Umarłych“ (i żywych), a teraz po przeczytaniu tak pięknej, tak zachęcającej recenzji o „Starym mężu“, kończę nowy dramat w czterech aktach pod tytułem „Żydzi“.

A na odwrót ile skargi, ile bólu i zwątpienia odzywa się, czasem aż rozpaczliwym jękiem, w jego poufnych listach po niepowodzeniu i ciągłych zbyt surowej a niesprawiedliwej krytyki.

„Napisz, co się tam w waszej literaturze dzieje, — woła w 1841 roku do Karola Wittego, swego przyszłego zięcia; — ja ci się przyznam, że mi już wszystko obrzydło. Walczyć z takimi trudnościami może tylko człowiek młody. Pisać będę, ale drukować nie — albo pod cudzem imieniem — albo, jak mi dokuczają, to... nie kończę, bo myśl grzeszna“.

Łatwo ją sobie dopowiedzieć ze smutkiem i wyrzutem dla tego ostracyzmu krytyki, który często za źle zużytą kroplę atramentu wytacza swoją stalówką cały strumień krwi serdecznej nieszczęsnemu autorowi, sądząc go jak zbrodniarza, karząc jak przestępcę, a co najgorsza, znęcając się i pastwiąc nad nim w tej karze za nieudane dzieło.

W listach Korzeniowskiego, ogłoszonych już w druku i spoczywających jeszcze w ukryciu, takich bolesnych syknień i wykrzykników — dużo.

Każdy autor mniej więcej ma jakieś rachunki z krytyką, jakieś pretensje do niej i żale, jakieś uprzedzenia i urazy; *irritabile genus* w wiecznej rozterce żyło i żyć będzie z Zoilami wszech czasów, uważa się za pokrzywdzoną stronę przed kratkami opinii publicznej i często nie ma słuszności, albo w nadezulej ambicyi i miłości własnej pre-

cenia siebie, lub w zarozumiałości swej uważa się za nietykalną wielkość, za bóstwo, które może oddychać tylko najgęstszym dymem kadzideł.

Korzeniowskiemu jednak tego zarzutu chyba zrobić nie można; ma on naturę wrażliwą, ale nie drażliwą, autora, który swej wartości nie przecenia, nie domaga się samych hołdów i uwielbienia. nie obrusza, nie zżyma na słuszne uwagi, tylko cierpi i boleje, gdy go skrobną i udrapią niesprawiedliwie, gdy go zrozumieć nie chcą lub nie umieją, gdy wypaczają jego myśli, dążenia i uczucia, gdy krzywdzą ze złą wolą lub nie doceniają. Obraża go zła intencya, rozżala niechęć, rozgoryczają przeciwności, których innym nikt nie stawia, a przynajmniej nie w takim stopniu, jak jemu; najdotkliwiej zaś odczuwa złe posądzenia i podsufwanie sobie dążeń, których nie miał i mieć nie chciał.

Odczuwa to tem boleśniej, że nie zawsze może takie posądzenia odpierać i jasno się tłumaczyć na swoim stanowisku, że często musi mieć usta zamknięte i to, w chwili, w której niesprawiedliwość zadaje mu cios zręcznie wymierzony i rani go w samo serce. Broni się wówczas prywatnie, w listach do bliższych znajomych i przyjaciół, ale publicznie nosić musi na sobie cień, który przyćmiewa go do samej śmierci i dyskredytuje jego najlepsze chęci i działania w społeczeństwie, z natury rzeczy nader drażliwym na wszelkie tego rodzaju skazy, rzeczywiste, czy urojone, w ludziach, stojących na widoku.

Były wreszcie w samym Korzeniowskim pewne czynniki, które w pisarzu danej epoki pomiędzy r. 1830 a 1860, nie licowały z usposobieniem i nastrojem większości społeczeństwa; przedstawiciel trzeźwego rozsądku, poczucia obowiązków i legalności, unikający krańcowych kierunków, rządzący się więcej rozumem, aniżeli instynktowemi porywami serca i zapału, nie mógł przyciągnąć ani porwać ku sobie i zjednać w tym stopniu sympatyj i popularności ogółu, jak to się udawało innym, bardziej dopasowanym do chwili bieżącej. W tym złotym środku, w którym utrzymywał się z natury, usposobienia i talentu, zachowując spokojną równowagę, nie był dosyć konserwatywnym, ni dosyć postępowym, ni za zimnym, ni za gorącym, ni za klasycznym, ni za romantycznym, (do tego brakło mu fantazyj i entuzjazmu), z każdej strony jakieś „nie dosyć“ przeszkadzało mu do zupełnego dopasowania z ogółem, z tem lub owem stronnictwem, z tą lub ową warstwą społeczną.

Wpływały na to rozmaite czynniki, pomiędzy którymi i atawizm odgrywał niepoślednią rolę w potomku zubożałej rodziny szlacheckiej, która miała w sobie domieszkę krwi mieszczańskiej i to niemieckiego pierwotnie pochodzenia. Chmielowski trafną zwrócił na to uwagę, pisząc: „Nie będzie to nadużyciem wywodów biologicznych, jeżeli matce

jego, Klarze z Winklerów, przypiszemy wpływ w utworzeniu jego temperamentu, w którym popędliwość i porywczosć (z ojca) połączyła się z sentymentalnością (matki), nie wykluczającą bynajmniej zdrowego rozsądku i praktycznego zmysłu. Zarówno w życiu, jak w pismach, temperament ten odbił się bardzo wyraźnie“.

Pomimo wszelkich niedostatków w tym temperamencie i indywidualności pisarza na daną epokę, które sprawiły, że nie był dostatecznie docenionym, że nie stał się tak popularnym, jak na to talent i twórczość jego zasługiwały, i że zajmował długi czas stanowisko człowieka, „któremu nie oddano całej słuszości“, a na którego grobie dopiero bujniej wyplenione z chwastów laury rozwijać się zaczęły, położył jednak w literaturze naszej niepospolite zasługi, jako powieściopisarz, a przede wszystkim, jako dramaturg. W tragedii przyćmił go wprawdzie Słowacki swoim potężnym talentem wielkiego poety i najświetniejszego stylisty, ale w komedii miał prawo iść obok Fredry i nosić wieniec pierwszego u nas twórcy charakterów indywidualnych na scenie, jak tamten pozyskał nieśmiertelny tytuł twórcy typów.

Późno, bo w wieku już zupełnej dojrzałości, przyznano mu tę zasługę, gdy o czterdziestokilkuletnim dramaturgu napisano nareszcie w jednej z recenzji „Gazety lwowskiej“ (Dr Bronisław Czarnik w swojej sumiennej i zajmującej pracy p. t. „Korzeniowski i teatr lwowski“, przypuszcza, iż autorem jej był Karol Szajnocha), że „Korzeniowski pierwszy wprowadził do naszej literatury oryginalny rodzaj komedii, która nie jest naśladowaniem ani sztucznie zbudowanych utworów francuskich, ani płaskich utworów niemieckich, ale jak najwierniejszem odtworzeniem naszego życia i naszych obyczajów. Osnowa jego komedii wolna jest zupełnie od niepotrzebnych powikłań, a układ jak najprostszy.“

Jakkolwiek sfera intelligencji i ziemiaństwa ma w Korzeniowskim najwierniejszego malarza, który ze szczególnem zamiłowaniem i znanstwem ją odtwarza w swoich powieściach i komedjach, nie zamyka się jednak w niej wyłącznie; umie on bystry wzrok obserwatora zapuścić i w duszę ludu, aby potem utworzyć swoje arcydzieło w „Karpackich góralach“; umie podglądać w stan rzemieślniczy, by odwzorować z natury „Majstra i czeladnika“ lub sceny cechowe w „Krewnych“, odgrywające się w stolarskim warsztacie; studjuje życie i typy „Cyganów“, bada świat sztuki dawnej i współczesnej, gdy ma z pod jego pióra wyjść „Gentile Bellini“, „Śpiący Kupidyn“ lub „Garbaty“; wyprowadza ginące i nowopowstałe typy w całym szeregu dawniejszych wojskowych lub dzisiejszych parweniuszów plutokracji, żydów i karyerowiczów wszelakiego rodzaju.

Galerya jego figur liczna i urozmaicona; znajdzie w niej niemal przedstawicieli wszystkich stanów, pomiędzy którymi stosunkowo a całkiem konsekwentnie musi przeważać ta warstwa, która jeszcze górowała nad innymi i zaznaczała się najwybitniej.

Na polu powieściopisarstwa trudniej mu stanąć na czele, bo ma niebezpieczne współzawodnictwo z Kraszewskim, Rzewuskim, później z Kaczkowskim i tylu znakomitymi talentami; ale w dziedzinie dramatu i komedyi powinien-by zajmować pierwsze miejsce w swoim czasie i nie obawiać się żadnej rywalizacji, zwłaszcza od chwili, gdy urozynny Fredro przestał zasilać repertuar oryginalny nowymi utworami.

Jest jednak jakaś fatalność, która prześladowuje dramaturgów polskich od samego początku i stwarza im przeciwności, stawia przeszkody, utrudnia i tak nadto trudne zadanie w ich zawodzie, nie pozwala im zdobyć dla siebie gruntu, zacieśnia granice rozwoju, odmawia należytego poparcia i pomyślniejszych warunków istnienia, twórczości, emulacji. Bogusławski przekopywać musi twardą drogę i po grudach toczyć swój wózek Tespisa, by dla sztuki i literatury dramatycznej pozyskać choć trochę miejsca; Zabłockiego zmiata burza wypadków dziejowych i łamie go w chwili największej dojrzałości; Fredrę złośliwa krytyka odsuwa zupełnie od sceny; Korzeniowski natrafia na złą chwilę i nie znajduje dla siebie poparcia ani zachęty odpowiedniej tam, gdzieby miał prawo spodziewać się jej nieomylnie—na scenie warszawskiej.

Sztuki jego znajdują przytułek najczęściej jeszcze w teatrze lwowskim za dyrekcji Kamińskiego i Skarbka; w Warszawie trudno mu się docisnąć do repertuaru, ma zepsuty smak publiczności przeciw sobie, ma uprzedzenie dyrekcji, nieudolność aktorów, z którymi „żadnej sztuki kompletnie dobrze oddać niepodobna, bo kilku tylko jest dobrych, reszta studenci lub karykatury“. Do Osińskiego też żywi urazę usprawiedliwioną: bo „pozawracał głowy publiczności francuskim teatrem, chce koniecznie, aby znalazła upodobanie w deklamacyach źle oddanych, kiedy ona szuka na scenie życia, mocnych wzruszeń i gwałtownych namiętności i charakterów, których teatr angielski i niemiecki tak obficie dostarcza; ale jakże tu wystawić dobrze którą z takich sztuk, kiedy do nich potrzeba wielu ludzi biegłych, potrzeba artystów myślących, którzy-by przejąć się namiętnością, zgadnąć charakter i nie krzyżeć i rękami machać, ale mówić i żyć umieli“. Nie wchodzi w to, że tenże Osiński ma trudności nie lada do zwalczania, że reformy nie podobna w żadnym teatrze przeprowadzić od jednego zamachu bez wielkiego i niebezpiecznego ryzyka. Jako autor, czuje tylko żal i zniechęcenie, iż sztuk jego nie wystawiają, iż mu lata całe każą czekać cierpliwie na zaszczyt wprowadzenia komedyi lub drama-

tu na deski warszawskiej sceny, że mu przerabiają, zmieniają i tytuły, i osoby, i sytuacje; to go drażni i oburza, nie chce swoich utworów przesłać Osińskiemu, znając jego „uprzedzenia“ i uprzedzenia publiczności, — „bo oni dotąd myślą, że co nie po francusku, to źle“.

Czytając te utyskiwania naszego komedyopisarza, można-by przypuszczać, że były jeszcze wczoraj pisane, nie przed siedemdziesięciu laty.

Mimo nieprzychylnne warunki, mimo to, że utworów swoich nie może nawet widywać na scenie, że całe dziesiątki lat marzy o tem, aby którakolwiek ze swych sztuk mógł zobaczyć w teatrze lwowskim, „jedynym, gdzie jeszcze polski dramat, czy pisarz, znajduje przytułek,“ — bo: „Warszawa niestety nie dla nas“, — ciągnie go coś nieprzeparcie do sceny i twórczości dla niej; pisze jeden dramat po drugim, sypie komedye, jak z rękawa, chociaż się skarży: „Czemże jest dramat bez reprezentacyi, bez talentu aktorów?.. prawie tem, czem są nuty koncertu bez smyczka Lipińskiego“. „Żał się Boże pisać dramat tylko dla czytelników, — powiada w innem miejscu; — bez teatru nie ma uroku, nie ma kolorytu, nie ma życia. Jest to czarna, mizerna litografia.“

I w tem ma najzupełniejszą słuszność.

Niekiedy serce mu się kraje, że wystawienia swoich sztuk nie może sam dopilnować i musi się narażać na samowolę reżyseryi, która pozwala sobie wzmacniać teatralny efekt niegodnymi sztuczkami. W roku 1844 grano we Lwowie jego „Karpackich górali“ i przypięto do nich, jak kwiatek do kożucha, jakieś góralskie *pas de deux*, które do ostatniej passyi doprowadziło autora. „Protestuję i nie pozwalam na żadne wybryki baletowe, — pisze do Benzy — tam, gdzie potrzebna gra prosta, chłopska, ale głęboka i silna“.

Gdy miano w tym samym roku tę sztukę przedstawić po raz pierwszy na scenie warszawskiej, w obawie jakichś podobnych nadużyć reżyserskich, upraszał Karola Wittego: „Zmiłuj się, obroń tam moich „Góralów“ od wszelkich wybryków baletowych, niech dadzą tak, jak napisano“.

Łatwo wywnioskować, że nie zbyt zazdrości godnym musiał być los polskiego komedyopisarza w owych czasach, gdy Korzeniowski dla sceny pisał.

Krytyka nie przyczyniła się również do podnoszenia w nim ducha i sumienną, sprawiedliwą oceną nie umiała, czy nie chciała, załatwiać z nim rachunków ścisłych. Z jednej strony przechwalono go zanadto, nazywano, jak Dobrzański w *Gazecie lwowskiej* po wystawieniu „Starego męża“: genialnym wieszczem dramatycznym, który rozpoczyna nową epokę dramatu, z drugiej znów odmawiano mu świeższej

inwencyi, robiono przygryzki, chłostano nawet szyderstwem, a w końcu pod pręgierz publiczny postawiono, jak w rozprawie Klaczki o „Krewnych“, lub w artykułach Nowosielskiego, Tyszyńskiego, Przędzieckiego i Kraszewskiego. Zbytńia pochwała wywoływała reakcyę. W. Constant (Wurzbach) w niemieckich *Leserblätter*, wydawanych we Lwowie, przyznając Korzeniowskiemu talent i wyrażając nadzieję, że po tylu wybornych utworach, których dostarczył teatrowi, może jeszcze napisać wiele rzeczy wspaniałych, zakwestyonował wielce jego prawa do nazwy „polskiego Szekspira“. „Korzeniowski pozostawał-by jak dotąd w takim stosunku do Szekspira, — wyraził się złośliwie, — w jakim pozostaje komin do wieży św. Szczepana“.

Za życia tedy autora nie ustalił się żaden jakiś prawdziwie krytyczny i sprawiedliwy sąd o nim, o jego talencie, działalności, zasługach i znaczeniu; miało to nastąpić dopiero znacznie później, jako zadostyczynienie za wyrządzone mu przykrości i krzywdy. Spokojniej i beznamiętniej zaczęto się z nim rozprawiać po śmierci, usiłując rozpoznać lepiej jego duchową fizyognomię, zbadać wszystkie za i przeciw i zdobyć się na jakąś krytyczną syntezę w ocenie jego talentu i twórczości.

Do bliższego poznania człowieka przyczyniły się, obok dzieł pozostałych po pisarzu, wcale obfite a charakterystyczne materyały w jego korespondencyi prywatnej i biograficznych szczegółach, z których pozwalamy sobie dorzucić jeszcze garść nowych a znamiennych dokumentów, mogących rozjaśnić tę postać niepospolitego autora pod względem moralnej jego wartości i charakteru.

Natrafiłiśmy w archiwum Biblioteki Jagiellońskiej na nieznaną dotąd zbiór listów Korzeniowskiego, pisywanych pomiędzy rokiem 1845 a 1861 do J. I. Kraszewskiego i Karola Estreichera.

W korespondencyi tej dwóch Koryfuszów literackich znalazło się sporo ustępów, rzucających ciekawe światło na epokę, stosunki ówczesne, stan krytyki i literatury z przed lat kilkadziesiątu, a nadto wiele rysów, uzupełniających charakterystykę obu pisarzy.

Uderza w tych listach przedewszystkiem niezmiernie sympatyczny ton, w jakim od początku do końca odzywa się autor „Kollokacyi“ do swego wielkiego współzawodnika; niema tu ani cienia zawiści, ani śladu niechęci, która tak często mąci stosunki pomiędzy ludźmi talentu, zwłaszcza gdy los nierównomiernie obdarza ich sławą i wziętością. Przeciwnie, zawsze i wszędzie Korzeniowski odnosi się do Kraszewskiego z najszczerzą życzliwością, z wyrazem najwyższego uznania a nawet uwielbienia, z czcią i szacunkiem, niemal z przyznaniem mu wyższości nad sobą, zapominając o znacznej różnicy wieku, jaka między nimi zachodzi. W chwili, gdy się korespondencya ich zaczyna,

Korzeniowski dobiega już pięćdziesiątki, gdy Kraszewski ma dopiero lat 33; mimo to starszy i zasłużeńszy autor mianuje się zawsze „z najszczerzą życzliwością i uwielbieniem W. Pana Dobr. najniższym służą”, nie szczędzi mu pochwał, podnosi każdą jego zasługę, spowiada się z wrażeń, jakie odnosi przy czytaniu jego nowych powieści i artykułów, dziękuje za każdą publiczną pracę i... prosi o uwagi, wskazówki, rady, nawet o krytykę, choćby ostrą, byle szczerą, zwierza się ze swych projektów i poddaje mu po koleżeńsku pomysły, ufając niemal więcej jego talentowi i pracowitości, niż sobie samemu.

Nawet kiedy ma powód do słusznej urazy, kiedy jest przez niego dotkniętym boleśnie w swej literackiej miłości własnej, okazuje delikatną wyrozumiałość i więcej żali się, niż robi wyrzuty, a potem stara się sprawę załagodzić, wybacza i zapomina krzywdę, nie żywiąc niechęci ni ukrytego gniewu.

W dniu 17 kwietnia 1845 r. posyła Kraszewskiemu pierwszy akt „Andrzeja Batorego“ i pisze: „Piąty akt zaczynam dziś i za kilka dni cały dramat skończonym będzie. Nim go pošę do druku, radbym wiedzieć zdanie Pańskie w początku; wszakże nie takie, jakich mi czasem udzielać raczysz w liście, ale takie, jakie niekiedy drukujesz: są one cokolwiek różne,“ — dodaje przytem, z czego wnioskować pozwała, że w tych prywatnych sądach Kraszewski okazywał się pobłażliwszym, szafując hojniej tanią pochwałą, którą nie czuł się tak bardzo zobowiązanym, jak w druku.

Najczęściej i najobszerniej w tej korespondencji zajmują go sprawy literackie i stosunek do krytyki oraz opinii publicznej; bardzo wiele ustępów odnoszących się do tego przedmiotu cechuje bardzo trafny, trzeźwy i rozumny pogląd na rzeczy i nie jedna prawdziwie głęboka uwaga wychodzi wtedy z pod jego pióra, — uwaga, która dziś jeszcze zachowała jakby aktualność chwili bieżącej w zestawieniu ze stosunkami naszej doby.

Pod datą 30 maja 1845 r. pisze do Kraszewskiego z Charkowa długi list, który doprasza się, aby go tu w całości przytoczyć:

„Szanowny Panie! Miły i smutny zarazem liścik Pański odebrałem. Nie uwierzy Pan, jak przykre zrazu zrobił na mnie wrażenie. Nie dlatego, że ja, Pan, lub ktoś inny odbieramy za nasze trudy, za nocy nieprzespane, za wykradanie sobie powolne z życia godzin najlepszych zimną pochwałą, czasem głupie oklaski, częściej nie wiedzieć jaką naganą, ale co najgorsza brak współczucia i tego szacunku stałego, na którym można-by polegać, bo to się wszędzie zdarza pojedynczym literatom, ludziom z większemi zdolnościami, z najrzetelniejszą zasługą! Co mnie zasmuca i boli, to to, że u nas, jak Pan dobrze wyrażasz, jest to chleb powszedni, że żaden z nas nie minie się z tem wynagrodzeniem,

że w narodzie, którego najpowszechniejszym rysem jest jakaś dobrodusznia poczciwość, ta niewdzięczność, ta obojętność dla zasługi i talentu jest wkorzoną, jest pospolitą. Więcej powiem, jest jakaś radość złośliwa, gdy się człowiek znakomity potknie, gdy zrobi jakie głupstwo, gdy mu się co nie uda.

„Byłem wówczas w Kijowie i na Wołyniu, gdy się rozszedł ów niedorzeczny list Grabowskiego; jakaż to była radość, jakie szept, jakie ruszanie ramionami i kiwanie głową! Zapomnieli wszyscy o tak pięknym I-ym tomie „Literatury i krytyki“, o pracowitej i mającej dobre miejsca, chociaż nudnej „Stanicy“, zapomnieli, że go podrzucali do chmur, że jakiś osieł w *Tygodniku petersburskim* nazwał każdy jego artykuł dziełem monumentalnym, a drapali go, jak kto mógł, nie tylko jako literata, ale i jako człowieka i obywatela. Przyszła mi wówczas myśl dramatu, którego nawet dwie początkowe sceny już napisałem. Było-by to powtórzeniem wielu rzeczy już powiedzianych, ale całość nabrała-by oryginalności przez odbicie w niej charakteru naszej publiczności i jej osobliwszego niestatku. Otóż chciałem przeprowadzić poetę z duszą i głową przez wszystkie fazy jego upokorzeń i powodzeń, i skończyć obrazem tego człowieka w lesie, w prostym odzieniu rąbiącego drzewo i śpiewającego wesołą i swobodną piosenkę.

„Mimo to wszystko i ja piszę, i Pan piszesz, i pisać będziemy bądź co bądź, bo wszystkie nasze zarzekania się są podobne do zarzekania się pijaka, że już więcej wódki pić nie będzie. Jakoż zaledwem skończył „Batorego“, już co innego jest na warsztacie. Z „Batorego“ dość jestem kontent; zdaje mi się, że w nim zostawię po sobie pamiątkę, która kiedyś miłą będzie ziomkom“.

Pomylił się w tem ostatniem przypuszczeniu i gdyby A. Bełcikowski nie był się ujął za jego „dramatami historycznymi“ w pięknie napisanej o nich rozprawie, i „Mnich“ i „Andrzej Batory“ zatonełi-by w mrokach zapomnienia; to jednak, co pisał o zmienności opinii publicznej i tej jakiejś *Schadenfreude*, która leży w charakterze i usposobieniu naszego społeczeństwa, a przynajmniej jednej jego warstwy, najbliższej literatury i piśmiennictwa, to miało sprawdzić się na nim samym w kilkanaście lat później.

Co prawda, mogło to być dla niego bolesnem i dotkliwem, ale nie powinno-by było być niespodziewanem wobec tak trzeźwych poglądów na ludzi i ich ujemne strony.

Za jedną z głównych naszych wad, przyczynę naszego upadku i wszystkiego złego uważał prywatę; miał zamiar wystawić jej szkaradę w historycznym dramacie, którego bohaterem miał być Żółkiewski, a o którym wspominając Kraszewskiemu, pisał: „Na nic się nam ta lekcyja teraz nie przyda, ale zawsze jest faktem niewątpliwym. Nie

upadaj Pan na duchu, — śmiejmy się z głupstw i niesłuszności i gromadźmy dalej ziarko do ziarka. Ściskam rękę Szanownego Pana i polecam się Jego życzliwości i przyjaźni. Jeżeli da Pan Bóg i obaczmy się kiedy, sądzę, że się znamy lepiej, niż ci, co z sobą beczkę soli zjedli“.

Mimo wszystkie złe doświadczenia na własnej skórze, pomimo chwilowych zniechęceń i braku złudzeń co do stanu rzeczy, w wielu razach zapatruje się jednak optymistyczniej od Kraszewskiego na sprawę literackiej i społecznej natury.

Czytując pilnie wszystko, co wychodzi z pod jego pióra, zajmuje się widocznie każdym jego artykułem, każdą korespondencyą, każdą sprawą przez niego poruszoną.

Przy sposobności nadarzonej odzywa się natychmiast do niego i wyraża swoje zdanie jasno, szczerze i otwarcie.

„Zdekurazowałeś mnie okropnie Twym listem w № 30 *Gazety Warszawskiej* zamieszczonym, — pisze np. z Warszawy już w kwietniu 1853 roku. — Czyż to wszystko, co się robi, co obecny stan maluje, ma przepaść i za lat kilka pójść w zapomnienie!.. Nie sądzę, aby nasze prace tak przeszły bezowocnie. Mówię „nasze“ bo przez grzeszność z tej ogólnej klątwy nie wyłączam i siebie. Wprawdzie przewiduję ja, że się ta forma, jakiej dziś używamy, zużyje, spoważnieje, co już i teraz postrzegać się daje, bo i pensyonarki biorą się do powieści, jak do fortepianu; ale każda forma, którą mniej więcej talent ożywia, nie znika zupełnie i zostać musi, jako świadectwo rozrostu i dojrzałości, do której można ją było doprowadzić. To tylko przepada, co zupełnie poronione, a zatem co nie żyje i nie rośnie. Czyż nasze roboty takie?..“

Innym znów razem, wspominając o poezji panegirycznej z powodu książki Opata Witowskiego, dziwi się, że na nią „poszło atramentu i papieru co niemiara“. „Rozlewamy go i my nie mało na próżno— dodaje, — jednak Bogiem a prawdą juści nasze lepsze i spojrzysz Pan dokoła, czyśmy nie doprowadzili do jakich takich rezultatów!.. mnie się zdaje, że są“.

A pisze to już na schyłku życia i karyery swojej w roku 1860 zamieszczając ciekawy ustęp o dziele, które na prośbę Kraszewskiego nabył i wysłał z Warszawy:

„Przejrzałem wczoraj przedmowy tego X. Opata. Aj, Panie łaskawy! piszemy my za grzechy nasze wiele oba; stawiamy się w różnych rolach i mówimy za tego i owego, ale gdyby kto pod karą 50 kijów kazał mi, a nawet i Panu, skomponować taką przedmowę do jakiego Jaśnie Oświeconego, położył-bym się od razu i rzekł-bym: „bij, bo nie potrafię!..“ To to była literatura!.. Przypominam sobie, że ja-

kem był bibliotekarzem Zamoyskiego, tom zebrał i uszykował chronologicznie ze 30 tomów in folio i in 4-o takich samych panegiryków i luźnych pochwał, i kazań pochwalnych. Zawsze to jednak zbiór ciekawy. Ale jakiej-że to trzeba cierpliwości, żeby wyskubywać ziarnka z takich stert puste i bujnej słomy“.

W miarę, jak sam traci siły, ochotę do pracy i wiarę w siebie, przytłoczony wiekiem i męczony fizycznymi dolegliwościami, coraz goręcej zachęca innych do wytrwania i działalności.

Z Warszawy 14 marca 1857 roku odzywa się w ten sposób do Kraszewskiego:

„Czytałem Bożą czeladkę z zajęciem i miarkuję już, dokąd dąży. Z tym poczciwym i zacnym domem, skończy się zapewne tak, jak z naszą Rzeczpospolitą. Czego tylko wynarodowione i lakierowane niby to cywilizacją figury nasze dotkną się, wszystko psują i niszczą. Zawsze i wszędzie biada temu, kto nie umie być sobą i nie ze swojego pnia i korzenia wydobywa te liście i kwiaty, któremi się zdoła. Niech Ci Bóg pomaga i utrzymuje Twe siły na dobrej drodze. Ja ustalem już zupełnie. Nic z siebie wydobyć nie mogę i czasem doznaję takiego upadku ducha, że mi się życie przykrzy i chciał-bym już spocząć na dobre. Może to i stan zdrowia oplakany i wiek jest tego przyczyną, ale zdaje mi się, że mi się zdarzyło to, co pewnej śpiewaczce, która we Frajszycu śpiewając wielką arę do księżycy, zdaje mi się, w połowie jej i na najwyższym tonie urwała i straciła głos na zawsze.

„Zresztą, wszystko, co się u nas dzieje, ta massa złości, która krąży i oblewa każdego, chcąc go z nóg zwalić, nie może zachęcić i wlać w duszę tego ognia, który konieczny, aby rozgrzał zastygłą głowę. Ale co tam o tem!.. czytasz wszystko i wiesz dobrze, jacy my, jak cenimy pracę, zasługę, uczciwe dążenia, jak nam miło plunąć choćby na starą łysinę, jeśli ślina przyjdzie na język. Wprawdzie nie idzie mi tak bardzo o siebie samego: ja już jestem na samym brzegu, ale boli mnie to okropnie, że takie fatalne usposobienie jest u nas i jak wrzód rozrania się i gnoi coraz bardziej w miarę mnożących się zdołnostek, w miarę rozstrzeliwania się myśli naszej w różnych kierunkach, która nigdy w jedno ognisko nie zbierze się. Ale dosyć już tego!..“

W kilka miesięcy później powraca jeszcze raz do tej samej kwestyi i pisze:

„List Pana Dobr. ostatni w *Gazecie* wydrukowany zasmucił mnie trochę, raz że podobne postrzeżenie prawdziwe, a drugi raz, że widać w nim gorzkie myśli, jakie Cię kochany Panie przejmowały wtedy, gdyś pisał. Trudna rzecz!.. Ludzi naszych nikt nie przerobi. Chwyta-

ją się gorąco każdej nowej rzeczy, ale nasyceń prędko, oglądają się znowu za nowem cackiem. Przejdzie zapał do cukrowni, machin i kolei, tak, jak przeszedł do literatury. Mimo to nie sądzę, aby stan ten umysłów u nas wpłynął cokolwiek na tę niezmordowaną gorliwość, jaka Cię ożywia. I daj Boże, aby tak było! Ja upadłem całkiem na siłach. Pokazuje się, że wiek nie daje się galwanizować i chęć staje się próżną bez sił. Co gorsza, że i tej chęci już nie mam. Zobojeźniałem na wiele rzeczy, straciłem przy tem zdrowie, już trzeci raz miałem przed trzema tygodniami zapalenie płuc. Jeżeli przyjdzie raz czwarty, będzie *finis*. Nie jeden krzyżący dziś na powieść (a obudziłeś Pan takich kawek całą gromadę) ucieszy się, że jednym fabrykantem (*sic*) powieści będzie mniej. Żart na stronę, mam się nie dobrze. Całe to lato przeszło mi najgorzej, cóż będzie z zimą!.. Dla tego wybieram się na zimę do Włoch. Może mnie to trochę na jakiś czas podtrzyma. A jeśli nie, gotuj pan przyjazne wspomnienie dla człowieka, który Cię zawsze szczerze szanował, kochał i czując może lepiej, niż inni, donosność Twego talentu, wyżej niż wielu a wielu cenił“.

Ten ostatni ustęp nie jest wcale frazesem zdawkowej grzeczności; są w korespondencji Korzeniowskiego dowody, jak żywo zajmował się twórczością i talentem autora „Powieści bez tytułu“, jak się cieszył nawet każdym nowem jego a udanem dziełem, jak mu z serca winał tego, nigdy nie zazdrosząc mu sławy i nie czując się nią przygniecionym lub zdrażnionym większem powodzeniem młodszego kolegi.

Oto kilka wyjątków, w nader korzystnem świetle przedstawiających go pod tym względem:

„Malepartę teraz dopiero dostałem i przeczytałem z prawdziwym ukontentowaniem. Bardzo dobrze rzecz pomyślana i przeprowadzona. Zdaje mi się wszakże, że upadek ducha Maleparty jest za raptowny i zemsta jurysty może-by nie taką być powinna. Wie Pan, jak ja myślałem?... on miał jeszcze pieniądze, powinien-by żonę pozwać, przeprowadzić ją o włos od zguby, od przegrania procesu i przy kratkach w sądowni obaczyć te same duchy, zmieszać się, i pomieszać, i uciec bez slychu. Wszakże to tak przelotna uwaga, a i tak, jak jest, zostanie lekcya uderzająca. Niech Pan napisze Malepartę literackiego. Będzie obrazek nasz i użyteczny“. (25. IV. 1845).

„Za przypisanie „Jaryny“ serdecznie dziękuję. Ładna i bardzo interesująca powieść. Szczególniej postać samej dziewczyny, a zwłaszcza z początku nadzwyczaj dobrze skreślona. Czy „Dziwadła“ postępują i czy skończone?.. Ile znam z *Tygodnika*, to zapowiada rzecz obszerną, obmyślaną i nad którą Pan z zamiłowaniem pracujesz. Wszystkie figury wyskakują z płótna, i już je znamy dobrze, choć się dopiero pokazały. Winszuję z serca i Panu, i literaturze takiego początku. Kto jest Pan Pług?... i dlaczego ta pseudonimomania?“ (21 IV. 1850).

Kiedy zaczął wychodzić „Kopciuszek“ Kraszewskiego, zajmuje go nadzwyczajnie początek, i dopytuje się o dalszy jego rozwój, a czytając alluzję do tej gorączki pisarskiej, którą autorowi zarzucano, powiada: „Poufnie donoszę Panu, że choć nas łają za wyczerpanie, czytam „Kopciuszka“ z przyjemnością, że widzę tam postacie żywe i rad-bym bardzo, aby ów tajemniczy wielki pan panny Elwiry był komisantem, sprzedającym wina szampańskie, jakiego i tu mamy.“ (11. III. 1860).

Myślał zapewne o Nowosielskim, gdy to pisał, który w swoich krytykach robił mu przygryzki i domagał się nowości, zarzucał powtórzenie jednych i tych samych motywów, kopiowanie samego siebie.

W roku 1845-ym jeszcze zżymał się na krytyków, którzy zarzucali im zbyt ni pośpiech w tworzeniu i tłómaczył się niejako z tego, zawiązując częstszą korespondencję z Kraszewskim:

„Za wyzwanie do częstszego pisywania serdecznie dziękuję, miło mi będzie, gdy co upadnie na serce, lub się zjawi w głowie, podzielić się z Panem, wszakże mam nadzieję, że wzajemnie odbiorę ten dowód przychylności i współczucia. Krzyczą na Pana, że prędko pracujesz, wkrótce i na mnie ten krzyk się podniesie, bom się także rozpisiał, ale przekonałem się, że gdy co idzie leniwo, gdy się przerywa, zostawia, to się potem nigdy nie skleja, a przynajmniej nie skleja się dobrze. „Batorego“ pisałem trzy tygodnie, ale pisałem ciągle, mogę powiedzieć dzień i noc. Kładłem się z nim spać, wstawałem z nim, z nim do stołu od stołu, jak ta czarna kura, o której Grodek Panom mówił, wszędzie mi towarzyszył. Pewny jestem, że i Pana tak każda kompozycja przesładuje, póki jej nie urodzisz. Tłucze się i tłucze w głowie, jak dziecko w żywocie matki. I to oni nazywają prędko!.. Niech im Bóg wybaczy próżniakom. Takie trzy tygodnie kosztują rok życia.“

Nie gorszy się wcale tym pośpiechem i płodnością, ale owszem, podziwia Kraszewskiego i zazdrości mu tego jednego, że na wszystko znaleźć umie czas przy tak różnorodnych zajęciach.

W kwietniu 1854-go posyła mu przez znakomitego rytownika, Oleszczyńskiego, jakieś materiały i dodaje: „Niech na korzyść literatury i dla nauki nas, profanów, pęcznieje ten kufer, który tu widziałem, a z którego wyjdzie historia sztuki, której niecierpliwie wyglądamy... Choć późno, proszę przyjąć podziękowanie za przypis „Interesów familijnych.“ Uniemieć ten tę grzeczność koleżeńską, chociaż nie mam za nią czem zapłacić, chyba najszczerzym szacunkiem talentu, nauki i niezmordowanej pracowitości. O! gdybyś mógł nas nauczyć, jak z jednego dnia robi się cztery i pięć. Bo musisz ten sekret posiadać, inaczej nie mogę sobie wytłómaczyć, gdzie znajdujesz czas na napisanie tego wszystkiego, co piszesz, na przeczytanie tego wszystkiego, co przeczytasz, a nadto jeszcze na gospodarstwo i pędzell.. To ostatnie słowo przypomina mi znowu dług, z którego nie uiściłem się i podziękowanie za śliczny obrazek, którym mnie obdarzyłeś.“

Kiedy później w roku 1861-ym, po przybyciu do Warszawy, Kraszewski objął redakcyę *Gazety codziennej* (dzisiejszej *Polskiej*) i zawiązał osobistą znajomość z Korzeniowskim, zajmującym wysoką posadę dyrektora Wydziału oświecenia za czasów Wielopolskiego, autor „Tadeusza bezimiennego“ i „Krewnych“ nie tylko należy do najgorliwszych czytelników *Gazety*, ale stara się o popularyzowanie jej dążeń i artykułów.

„Kochany i szanowny Panie Józefie! — pisze do niego pod datą 27 marca tegoż roku. — Z uczuciem wdzięczności i serdecznego podziękowania ściskam rękę Twoją za artykuły przodowe (naczelne) *Gazety codziennej*, zwłaszcza za te, które mówią wprost o nas, i których dawajcie wprost tyle, ile tylko będzie można miejsca dla nich wywalczyć. Dwa ostatnie o sejmie pruskim i wczorajszy posełam do Londynu, aby je w tłumaczeniu angielskiem puszczono w świat, który potrafi ocenić ten sposób, jakim się na rzeczy nasze zapatrujemy i tę drogę, jaką iść postanowiliśmy. Niech Bóg dodaje sił do pocziwej pracy, do utrzymywania nas na tem stanowisku, na którym nas postanowił, czynem i słowem. Niestety! ja już tylko życzeniem i uznaniem Waszych usiłowań przyczynić się mogę. Codzień czuję się słabszym, i głos mój nie na wiele-by się przydał, tak niedołęztwo ciała i sił fizycznych odbiera mi moc i donosność. Ale dziękuję Bogu, że mi niepotrzebny, że są lepsi i silniejsi, którym Ten, co nas prowadzi widomie, kierunek myśli narodowej powierzył. Nie ustawajcie więc i wiercie, że mi imiona Wasze i praca Wasza dziś w dwójnasób drogie i szanowne.“

Ten wyraz uznania i gorącej zachęty z pod tego samego pióra, któremu przed laty kilku zarzucano szerzenie zasad i ideałów antynarodowych, powinien-by być jednym dowodem więcej przeciw bolesnym oskarżeniom, miotanym uam po napisaniu „Tadensza bezimienego“ i „Krewnych;“ znajdziemy zresztą w tej sprawie inne jeszcze, wymowniejsze świadectwo na jego obronę w dalszym przeglądzie tej korespondencyi prywatnej.

Tu zaznaczyć należy tylko blizki i serdeczny stosunek Korzeniowskiego z Kraszewskim, któremu pierwszy oddaje rozmaite drobne usługi, trudząc się wyszukiwaniem dla niego i wysyłką potrzebnych książek i materyałów literackich, udzielając rad i wskazówek, pośrednicząc nawet w wyborze guwernantki dla jego dzieci (1850 r.), zalecając jakąś p. Józefę Tangerman z dodatkiem: „ładna, ale jeszcze gąska, która potrzebuje się obejrzeć po świecie.“ Pragnąc mu czynem okazać swą życzliwość i poparcie dla jego celów i usiłowań, na pierwszą wiadomość o objęciu przez Kraszewskiego kierownictwa nad teatrem w Żytomierzu, wyprawia do niego list następującej treści pod datą 14 marca 1857-go roku z Warszawy:

„Szanowny Panie Józefie! Z wielką pociechą wyczytałem w ostatnim liście Twym, drukowanym w *Gaz. War.*, odezwę do serc czułych pp. Wołynianów za teatrem wołyńskim. Ucieszyłem się podwójnie, raz, że teatr w Żytomierzu wzniesiony i jest, powtóre, że człowiek taki, jak Ty, kochany Panie Józefie, wzięłeś się do dźwignienia go, popchnięcia i utrzymania go na pewnej stopie znaczenia i wpływu. Bóg wlał w Twoją głowę i serce tyle zasobów, tyle siły, takie jakieś zadziwiający niewyczerpanie i wytrwałość, że jak wiele rzeczy udało ci się przeprowadzić, obudzić, pokierować, tak i znów i to ci się uda postawić na pewnym stopniu i podnieść. Nie wiem szczegółów i nie wiem, o co tu idzie właściwie w tem wezwaniu. Czy o składki na dokończenie teatru, czy na jego utrzymanie i zasiłek dla aktorów w braku wpływów ze spektaklów. Cokolwiekbądź, widzę, że idzie o pomoc pieniężną. Jeżeli z mojej strony grosz wdowi przydać się może, chcę go ofiarować w następujący sposób. Mam gotową i leżącą od niejakiego czasu komedję trzyaktową p. t.: „Reputacya w miasteczku.“ Zamyka ona obrazek może nieudatny, nie wiem, ale dość prawdziwy tej naszej rzeczywistej wady, której, któryż z nas nie doznał, iż jak nie wiedzieć za co, podnosimy pod niebiosa i głosimy, tak potem w mgnieniu oka i za szepnięcie tylko jakiegoś podejrzanego słówka, obrzucamy bożyszczce nasze błotem i zrzucamy je z piedestału. Dałem ją do teatru, ale że tam dla matador teatralnych niema jednej popisowej roli, leży więc komedya dotąd niegrana. Otóż tę sztukę chciał-bym wydrukować na do-

chód teatru wołyńskiego, zostawiając Tobie, Panie Józefie, użycie i szafunek pieniędzy, jakie-by za to wpłynęły. Myślę, że wydanie kosztować będzie z 500 złp., a może trochę mniej...”

Propozycja Korzeniowskiego została chętnie przyjęta, komedia już w sierpniu ukazała się w druku, a autor, wysyłając do Żytomierza 200 egzemplarzy, prosi Kraszewskiego o poparcie nie dla swojego utworu, lecz dla wydawnictwa, na tak godziwy cel przeznaczonego; posyła przytem likwidację Józefa Ungra na 330 złp. 10 groszy, domagając się podziękowania za to, że „za druk nic nie wziął, a tylko kosztą papieru i oprawy policzył.” Ofiara jednak wielkich materialnych korzyści nie przyniosła, rozprzedaż „Reputacyi w miasteczku” szła leniwo, „z powodu manewrów księgarzy, nieprzyjaźnych wszelkim nakładom, które nie oni sami robią.”

Drugi raz, w cztery lata później, 18 lutego 1861-go roku, zainteresowany projektem nowego wydawnictwa, które Kraszewski podjąć zamierza, odzywa się do niego najżyczliwiej w ten sposób:

„Najprzód przepraszam uprzejmie Sz. Pana, żem go dotąd w jego progach nie odwiedził. Czekam słońca i przyjaźniejszej dla kaszlu mego pory, a tymczasem, nim mi wolno będzie wyjść, przypominam 1-go. Oprócz przyjemności widzenia Sz. Pana, chciał-bym jeszcze pomówić o rzeczy, w jednym z listów Pańskich wspomnianej, a która mi już dawno chodzi po głowie. Jak wielu dobrym przedsięwzięciom dałeś Pan początek i rozwinięcie, tak i temu dać możesz, i nikt z nas, ani z tego niez mordowanego ruchu umysłu, który admiruję, ani z nauki i wielu zasobów literackich, ani z talentu i umiejętności obrobienia nie jest zdolniejszym do dania początku i wzrostu tak ważnej i koniecznej dla nas publikacyi. Domyślasz się Sz. Pan zapewne, że chcę mówić o *Przeglądzie* czy *powszechnym*, czy *europęjskim*. jak się podoba nazwać, którego główny rys Pan podałeś, a którego nie uważam wcale za *pium desiderium*, ale za rzecz do zrobienia nietrudną i niezmiernego użytku, jeżeli jej Pan przewodniczyć i kierować nią zechcesz. Przed kilku laty p. Muchanow miał myśl wydawania *Przeglądu*, choć nie takiego, jakowego rys Pan podałeś, i o jakim ja myślę. Ofiarował mi redakcyę, i pismo to miało wychodzić w dwóch zeszytach miesięcznie. Przy moim wieku i siłach, nie mogąc podjąć tak ciężkiego obowiązku, wymówiłem się od redaktorstwa, ale napisałem wówczas plan obszerny i szczegółowy, który nie trafił podobno w myśl pana Muchanowa, ale który w części trafi w myśl Pana, jeżeli go będzie można odszukać! Może-by go wyszukał między papierami swoimi, czy JW. kuratora p.

Papłoński, który to widział a może i zmodyfikował według siebie, bo gdy pismo to miało wychodzić z ramienia Okręgu naukowego, proponowałem tego filologa na głównego redaktora. Są przeszkody, dla których nie wypada mi reklamować o tę pracę. Ale jeśli Sz. Pan widujesz się z Papłońskim, wspomnij mu o tem. Może-by on mógł to Panu dać a ja bardzo-bym rad, żebyś Pan Dob. to przejrzał. Tyle o tem. Dodaję tylko, żebym chętnie, ile potrafię i ile zaduszenie pozwoli, przyłożył się do wyrobienia tego, co byś mi Pan powierzył, a także i to, iż zdaniem mojem, niema potrzeby u władzy wyrabiać pozwolenia na peryodyczność publikacyi, ale co kwartał, nie peryodycznie, wydawać jeden tom spory, który-by wiele rzeczy mógł objąć takich, o jakich nam się często i nie śni, a które gdzieindziej dobrze już wiadome.

„Cieszę się także, że Sz. Pan miał odwagę cywilną powiedzieć słowa prawdy naszym historykom, którzy jeszcze lat sto zbierać będą cegły, a żaden nie bierze się do budynku. Niestety! bez talentu i kotletów dobrych zrobić nie można, choć mięsa wyborowego dostatek leży na stolnicy, a cóż dopiero napisać historję i tchnąć w nią życie i ruch, jaki miała przeszłość, która już w grobie. Ja, wiele razy biorę się do dzieła historycznego, oprócz prac Szajnochy i not Malinowskiego, żegnam się wprzód, jakbym miał w listopadzie przepłynąć Wisłę. Każdy z tych panów patrzy tylko w swe notatki, układa w mozaikę zgromadzone kamyki, przywiązuje pewną próżność do odsyłaczów; ale żaden nie widzi tych postaci, które kreśli, nie słyszy ich głosu i nie kładzie ręki na ich piersiach, aby potężne bicie ich serca uczuł. Wielką nam Pan Bóg krzywdę zrobił, że Szajnosze wzrok odebrał... Nie dawaj im Pan spokoju, i od czasu do czasu upomnij o jakikolwiek budynek, byle mieszkalny.“

Jakkolwiek wyraźnie nie dotyka nigdy swoich spraw osobistych, nie skarży się na złe, które mu wyrządza krytyka lub prywata, plotka lub oszczerstwo, odczuwa się jednak w tonie, czyta często między wierszami, dorozumiewa z robionych alluzyi, że mu na sercu cięży ludzka niesprawiedliwość, że uogólniając swoje zdanie, uwagi i spostrzeżenia, załatwia i własne pretensye przy tej sposobności. Raz nawet w liście z 14-go marca 1860-go roku, przyznaje otwarcie, że próbował w swoim „Plotkarzu“, jeśli nie ukarać i napiętnować, to przynajmniej nawrócić potwarców. „Byliśmy oba nieraz, — powiada do Kraszewskiego, — pastwą gorszych, niż ten, (którego w swej komedyi umieścił), ale nie chciałem wystawiać takich, którzy-by się choć trochę opamiętać nie mogli, w tej myśli, że zawsze jest czas porzucić złą drogę i nie-

godną mężczyzny, byle choć trochę serca i choć trochę głowy. Jeśli choć jeden się zawstydzi i nim poleci z językiem, pomyśli sobie: czy też to być może, aby Korzeniowski ukradł Kopernika z pod Akademii i oddał go....., a Kraszewski coś podobnego wyniósł i schował do kieszeni, to już będzie wygrana.“

Szczęśliwe czasy, w których można było mieć takie złudzenia, że satyrą przemawiając do serca i rozumu potwarców, uda się ich zawstydzić, zreflektować i powstrzymać od obrzucania błotem z po-za płotu ludzi uczciwych i zasłużonych, stojących na widoku; że się ich nie rozdrażni jeszcze bardziej, i nie ściągnie na siebie w odpowiedzi brutalnej napaści, osobistej szykany lub paszkwilu!..

W tej harmonii stosunku obu znakomitych pisarzy, których nie łączy wprawdzie nigdy poufalsza przyjaźń i zażyłość, ale przebija zwłaszcza z listów Korzeniowskiego wielka życzliwość koleżeńska i szczerzy szacunek dla cieszącego się o wiele szerszym rozgłosem i popularnością współzawodnika, natrafiamy dwa razy tylko na chwilowy rozdźwięk; jednak z jakim taktem i godnością autor „Emeryta“ i „Wędrówek oryginala“ załatwia przykrą dla siebie sprawę, w której sam jest stroną pokrzywdzoną, i to nader dotkliwie. Nie unosi się, nie oburza, nie wymyśla, jakby w podobnym wypadku uczyniło wielu popędliwych i drażliwych, ale odwołuje się do godności i poczucia sprawiedliwości Kraszewskiego.

Pierwszy raz czyni to w parę tygodni po wydrukowaniu w *Tygodniku petersburskim* recenzji o „Wędrówkach oryginala“, którą Kraszewski nadesłał z Hubina temu pismu pod datą 2-go maja 1849-go roku; recenzja była złośliwa, lekceważąca, trzymana w tonie drwiącym, ośmieszającym i pomysł, i figury, i styl, czepiająca się nawet pojedynczych wyrażen, dodajmy: wcale niekrytyczna i powierzchowna, zakończona jakby dla osłodzenia gorzkich pigulek kilku słowami niby uznania. „Powinni-byśmy uderzyć w bęben pochwał, — dodawał; — „Wędrówki“ zasługują na nie, (czego wszelako z poprzedniego rozbioru domyślić się nie można), ale nieznany autor, (ów oryginal, który rękopisu niby dostarczył Korzeniowskiemu), pochwał-by nie zniósł, gotów-by się rozgniewać, a p. Korzeniowski ich nie potrzebuje—dajmyż pokój.“

Łatwo zrozumieć, z jakim uczuciem musiał Korzeniowski odczytać taką krytykę z pod pióra człowieka, którego miał prawo uważać za życzliwego sobie kolegę na podstawie korespondencji, prowadzonej z nim już od lat kilku, i przed którym użalał się niejednokrotnie na

brak sprawiedliwości, współczucia i stałego szacunku w społeczeństwie i prasie względem ludzi zasługi i talentu.

„Wędrówki oryginala“ należały, jeśli nie do najlepszych, to niezawodnie do najsympatyczniejszych i najcieplej napisanych powieści Korzeniowskiego; spodziewać się mógł po nich wyrazu uznania i pochwały, a spotkał się z szyderstwem i lekceważeniem swojej pracy. I to od kogo?.. od Kraszewskiego, od człowieka, który powinien się być poznać na wartości takiego utworu. Zabolało go to bardzo, więc z Wilna (19 czerwca 1849 roku) na gorąco wysłał do niego list tej treści:

„Szanowny Panie! Piszę do Pana z Wilna, gdzie jestem po raz pierwszy. Nie spodziewałem się, że wśród tak miłych wrażeń, jakich tu doznaję, wśród takiego współczucia wszystkich, którem zawsze szczyć się będę, doznam oraz i prawdziwej przykrości, i że autorem jej będziesz Pan, którego szczerze szanuję, którego pracę i talent zawsze ceniłem i wysoko cenię. Przeczytałem tu wzmiankę Pana w „Tygodniku“ o moich „Wędrówkach.“ Czyż zasłużyłem na to, żeby taki człowiek, jak Pan, drwił sobie ze mnie?.. Surową naganą pojmuję i cenię może nawet więcej, niż ładajaką pochwałę. Ale wierz mi Pan, drwinki i w ogólności taki rodzaj niby to zabawnej krytyki, niegodny ani mnie, ani Pana. Poniżej on nas obu, a oba na to nie zasługujemy. Cóżem ja Panu zrobił, żeś mnie tak obryzgał?.. Możeś Pan obraził się tem, że Panu przypisał dramat pod tyt.: „Dziewczyna i dama,“ i nie zapytał Pana wprzód, czy sobie pozwolisz otiarować taką fraszkę?.. Doprawdy, nie pojmuję. Gdybym był Pana nie poznał osobiście, ten wyskok ni to krytyczny, ni zabawny, nie tyle-by mnie zadziwił. A teraz nie mogę zestosować Pańskiego obejścia i rozmowy z tem niezrozumiałem dla ogółu czytelników szyderstwem. Przeclawski ogłosił tryumfalnie powrót Pana do *Tygodnika*, i ja ucieszyłem się także, sądząc, że się Pan odezwiesz tak, jak przystało na pisarza z takimi zasobami i z takim talentem. Żał mi, że tak nie jest i nie dlatego tylko, że się to stało moim kosztem. Jeżeli Pan zechcesz obdarzyć mnie kilku słowami, proszę adresować: do Warszawy, ulica Niecała № 614 F. Tymczasem uwiadamiam Pana, że się zemszczę i pomieszczę w *Tygodniku* kilka uwag o Pańskim „Bondarczuku“ i „Budniku.“ Życzliwy sługa.“

Wymówka ta, uczyniona w formie tak przyzwoitej i taktownej dopięła celu; Kraszewski odpisał z usprawiedliwieniem, usiłując widocznie wyprzeć się złej intencji w artykule swoim, składając wszystko na formę lekką, swobodną i żartobliwą, która ubodła drażliwą miłość własną autora, próbował się oczyścić i zręcznie ukrytą szpilką ukłuł

znowu Korzeniowskiego, że widocznie wymaga czołobitności, hołdów uwielbienia. Listu tego nie znamy, ale łatwo domyślić się jego treści z odpowiedzi, którą znaleźliśmy w pozostałej korespondencji:

„Szanowny Panie Józefie! Odebrałem list Pana, z którego widzę, żeś mnie Pan nie chciał zrozumieć. Nie jestem ja tak drażliwym na nagane, na surowe wytknięcie czy wad, czy braku zdolności, czy czego tam, ale powtarzam Panu raz jeszcze, że mi przykrym był ten szyderski Pańskiej krytyki, tem bardziej, że to wyszło z pod pióra Pana, czego się nie mógł spodziewać. Jeżeli zaś to nie było szyderstwem, ale tylko uśmiechem w dobrej chęci, to nie moja wina, żeś się tak wyraził, iż nietylko ja wziąłem to za drwiny. Dlaczegoż nie mam żadnej pretensyi za uwagi o „Powiastkach,“ choć w ogóle więcej w nich nagany, niż pochwały? Owszem, na wiele rzeczy zgadzam się najchętniej, wiele zdań, jak np. o Anilce, najzupełniej podzielałem. Bo ja, mój dobry Panie, ani czołobitności, ani uwielbienia, ani ostrożności i strachu nie wymagam, ale chcę tylko, abym mógł się czego z krytyki nauczyć, aby mię ona zaprowadziła na drogę lepszą, jeżeli jestem na złej, abym widział w niej szczerze i otwarcie oddane wrażenia, jakie praca moja w sądzącym mnie sprawiła. O takie uwagi proszę, błagam i takie przyjmę zawsze z wdzięcznością. Że tej zalety uwagi Pana o „Wędrówkach“ nie mają, to Pan sam obaczysz, jeżeli je odczytać zechcesz.

„Ale w czem mnie Pan kapitalnie zrozumieć nie chciałeś, to w wyrazie *zemsty*. Chociaż Pański „Budnik“ jest małym obrazkiem, jak go Pan sam nazwałeś, ale oprócz obrazu matki łatwowiernej, który jest przesadzonym, i nie wiem dlaczego bolącym, powiastkę tę uważam za mistrzowską, szczególnie odrysowanie charakteru ojca i kilka scen, do których on wchodzi. Otóż chciałem okazać całą jej wartość i sztukę, i taką miała być moja zemsta. Inna rzeczywiście była-by rzeczą niegodną, a gniew, doprawdy, był-by dzieciństwem. Ja też go nie miałem nigdy, chociaż, nie taję, iż mi było przykro, i że w takim uczuciu list mój był napisany. Gdybym się mógł gniewać, to gniewałbym się za *czołobitność, za strach, za ostrożność*. Ale wiem o tem dobrze, że Pan tak nie myślisz, żeś pewny równie podziękowania za zdrowy sąd, jak wdzięczności za sprawiedliwą nagane.

„Niech więc tedy będzie temu koniec, ale jeżeli jeszcze co wydrukuję, niech to idzie pod sąd Twój, Panie Józefie! Wyraż swoje wrażenie, jak chcesz, byłem widział jasno myśl Twoją i poznał z twego pi-

sma, żeś mnie czytał z uwagą. Polecam się Twojej przyjaźni i pamięci, pełen zawsze szacunku, życzliwy sługa.“

Drugi taki wypadek „nieporozumienia“ zachodzi już pod koniec ich stosunku, w czasach, gdy Kraszewski redaguje *Gazetę codzienną* w Warszawie; wypadek na pozór drobny, ale również dotkliwy, chociaż tak często praktykowany w pismach, mających uprzedzenia do pewnych osobistości. Wytyka się, i rozdyma, i piętnuje nieraz drobiazgi na niekorzyść autorów, do których się nie ma sympatyj, notuje skwapliwie to, co im szkodzić może w opinii, a przemilcza umyślnie wszystko, co-by na ich korzyść wyjść mogło pod pozorem unikania „reklamy.“

Coś takiego wydarzyło się z Korzeniowskim.

Kuryer wileński w korespondencji z Ukrainy podał wiadomość o wzmagającym się ruchu czytelniczym, i wymienił najpopularniejszych autorów, których dzieła „leżą na stołach oficyalistów,“ mianowicie: Kraszewskiego, Korzeniowskiego, Kaczkowskiego i Chodźkę. *Gazeta* przedrukowała tę wzmiankę, ale opuściła nazwisko Korzeniowskiego. Nie stało się to zapewne przez nieuwagę, lub pomyłkę, lecz z umysłu, ze zbyt widoczną chęcią przemilczenia według niesumiennej taktyki dziennikarskiej, aby nie utrwać rozgłosu autorowi, który w danej chwili nie znajdował się może *in odore sanctitatis*, i według rozumienia redakcyi, nie powinien był należeć do najpoczytniejszych, obok Kraszewskiego, Kaczkowskiego i Chodźki.

W tym samym liście, w którym tak gorące pochwały oddaje Korzeniowski *Gazecie*, i podnosi jej kierunek i rozumną politykę na czasie, upomina się w przypisku o tę małą krzywdę, zapytując, czy była z pewną zasadą mu wyrządzoną, czy też tylko przypadkiem.

„Nie sądzę, — mówi, — aby ta *poprawka* była umyślną, i za Twoją wiedzą, Panie Józefie! Nie opuszczenie mego nazwiska, o które mniejsza, ale intencya była-by dla mnie bolesną, bom na to u Was nie zasłużył.“

Chwilowy ten rozdźwięk nie zepsuł jednak dobrej harmonii dalszego stosunku z Kraszewskim; widują się z sobą, o ile Korzeniowskiemu coraz gorsze zdrowie na to pozwala, i o ile wychodzić mu wolno z mieszkania swego przy ulicy Niecałej, w domu Jakubowskiego. Korespondencya toczy się dalej, jednak w rzeczach drobniejszej wagi. Chałubiński skazuje pacyenta na „ścisły areszt,“ więc męczony dusznością astmatyk nie wiele się rusza, ale pracuje zawsze jeszcze

dużo, tylko w innym kierunku. Sprawa wychowania, projekty w organizacji szkół elementarnych, powiatowych i gimnazjalnych, opracowanie ustawy dla Szkoły głównej zajmują go nieustannie. „Trzeba było widzieć, — powiada o nim z tych czasów gorących Leopold Winkler, — tego starca, niemającego już pięciu minut spokojnych od przesładujących go bólów fizycznych, jak się ożywił, jak był pełen nadziei jak był wdzięcznym margrabiemu, że go wybrał do tak drogiej sercu roboty.

Jeszcze we wrześniu 1857-go roku, gdy się wybierał na południe, niewiele miał złudzeń co do swego zdrowia; wyjeżdżał do Nicei na trzy lub cztery miesiące, aby potem powrócić się trochę po Włoszech: „Nie wiem, czy to; co pomoże, — pisał do Kraszewskiego; — w każdym razie odpoczynek odświeży trochę siły i może mi odejmie to zniechęcenie do wszystkiego, które mnie w ostatnich czasach opadło. Żegnaj więc kochanego Pana na miesiący kilka, i spodziewam się, że powróciwszy, zastanę jaki nowy owoc tych niezmordowanych sił, które Panu Bóg dał dla naszej uciechy i nauki.“

Choroba nie ustępowała, przeciągała się tylko przez lat kilka; kwękał i wyrzekał, nazywając się „niedolegą;“ w dniu 5 października 1861-go roku, maluje w ten sposób swój stan Kraszewskiemu:

„Szanowny Paniel Pan margrabia Wielopolski komunikował mi list, któryś Pan Dobr. do syna jego pisał. Sam zajęty tak, że i chwilkę czasu nie ma, polecił mi skomunikować się z Szanownym Panem i pomówić o zrobionych propozycjach (?), których treść mi wiadoma. Jeżeliś tedy tak łaskaw, że chcesz nam dopomóc (ciekawa rzecz, w jakiej sprawie? *Przyp. autora*), to dopomóż i mnie do spełnienia danego zlecenia. Jestem tak chory, tak zajęty, że było-by to ze strony Pana kochanego dowodem wielkiej dla mnie względności, gdybyś raczył lub dziś po godzinie 6-iej, lub jutro do 12-iej, a po obiedzie od 5-iej lub 6-iej wstąpić do mnie na chwilkę, abyśmy o tem pomówili; gdybyś nie mógł, to racz naznaczyć godzinę i miejsce, gdzie-bym Pana Szanownego na pewno zastał, gdyż przyjechać tam dla mnie i nie zastać, lub nie móc się widzieć, jest trudniej, jak dawniej było-by zrobić mil kilka, lub kilkanaście. Przepraszam za moją śmiałość, ale Pan kochany umiesz z każdego dnia robić trzy, i w każdym robisz tyle, czego-by inny i w szczęściu nie zrobił, uwzględniż tę prośbę niedolegi i tej śmiałości wybaczysz. Z serdeczną życzliwością Sz. Pana najniższy sługa.“

W „Rozmaitościach“ lwowskich z roku 1858-go, Karol Estreicher pomieścił obszerny i bardzo w pomysłę samym dowcipny, a w treści

zajmujący artykuł p. t.: „Korzeniowski Józef, pisarz sceniczny i jego krytycy;“ zasłużony dyrektor dzisiejszy Biblioteki Jagiellońskiej i twórca pomnikowej „Bibliografii polskiej,“ oddawna najgoręcej zajmował się teatrem, badał jego dzieje, gromadził całe stopy materiałów i notat, z których część tylko wydał dotąd w druku, ale znaczną większość, starannie opracowaną, trzyma dotychczas w tekach, i czeka sposobniejszej chwili, oraz chętnego wydawcy. Znalazło-by się w tem dziele prawie wszystko, co dotyczy historii sceny polskiej i jej rozwoju od najwcześniejszych początków, cały materiał wieloletnich studyów, z których dało-by się dopiero odtworzyć dokładny obraz naszej sztuki i literatury dramatycznej. Niestety, praca ta, iście benedyktyńska, pozostawać musi dotąd w rękopisie z krzywdą dla piśmiennictwa, bo trudno wymagać od autora, ażeby sam ponosił koszta wydawnictwa, i do tego plonu, skrzętnie zbieranego przez całe dziesiątki lat, dopłacał z własnej kieszeni.

Skorzystaliliśmy z uprzejmości czcigodnego autora „Teatrów w Polsce,“ i pozyskali prawo do ogłoszenia wyjątków z korespondencji jego z Korzeniowskim, który z powodu wyżej wzmiankowanego artykułu, rozpiisał się bardzo obszernie o sobie i swojej twórczości w długim liście, zawierającym wiele ciekawych i zajmujących szczegółów.

Studyum porównawcze Estreichera, wydrukowane w rok po pamiętnej krytyce Klaczki o „Krewnych,“ musiało sprawić na Korzeniowskim przyjemne wrażenie, skoro poczuł się do obowiązku podziękowania autorowi obszernym listem, w którym pisze z Warszawy, pod datą 10 lipca 1858-go roku:

„Szanowny Panie! List Pański z d. 2 b. m. wraz z numerami „Rozmaitości,“ obejmującemi tak zaszczytną dla mnie pracę Pańską, z przyjemnością odebrałem. Nie spodziewałem się tak prędko przypatrzeć się mojej fizyognomii umysłowej i artystycznej w takim zwierciadle. A chociaż wyglądam w niem tak, jak wygląda twarz ludzka w potłuczonym lusterku, dziękuję jednak Panu Dobr. serdecznie, żeś mi je popokazał. Przepędziwszy tyle czasu daleko od kraju, gdzie prawie wszystkie moje późniejsze dramata i komedye, oprócz *Klary*, *Anieli*, *Pelopidów*, *Mnicha*, *Mieczysława*, *Dymitra* i *Pięknej kobiety* napisał (te wszystkie urodziły się w Krzemieńcu przed rokiem 1830-ym), wielu i wielu rzeczy z tego, co o mnie napisano, nie czytałem i nie znałem wcale. Nie wszystko to, prawda, odpowiada mojemu oczekiwaniu tak w pochwałę, jak i w naganie. I w jednej, i w drugiej widzę często prze-

sądę, uleganie chwilowemu wrażeniu, sążenie o dziele z tego efektu, jaki robi na miernym teatrze, ocenianie siły słów moich z tego fałszywego nieraz tonu, jaki im daje głos naszych aktorów, którzy po większej części nie umieją mówić, i w tej mierze mianowicie nie są wirtuozami. Zawsze jednak to zestawienie zdań najróżnorodniejszych jest dla mnie niezmiernie ciekawem, a z wielu względów i dla innych stać się może użytecznem. Kiedyś przychodziło mi na myśl samemu zebrać to wszystko, co omnie powiedziano, postawić czarne obok białego, zbliżyć do siebie różne zdania o tej samej rzeczy, aby pokazać, jak sąd pojedynczy jest chwiejącym się i niepewnym; jak ci, którym Bóg dał w pewnej mierze talent i chęć do pracy, ani się pochwałał nadymać, ani naganą zrażać nie powinni; szczególnież chciałem ostrzedz tym sposobem krytyków, aby sami byli rozumniejsi, aby przestali w to wierzyć... (kilka wyrazów wykreślonych i nieczytelnych), że krytyka może postawić na nogi tego, co nóg nie ma, lub zwichnąć z drogi tego, kogo na niej postawił głos wewnętrznej siły i naturalne usposobienie, aby się na niej utrzymał. Inne zajęcia zapewne-by mi nie pozwoliły projekt ten przyprowadzić do skutku; dzięki więc Panu Dobr., żeś to zrobił, a zasługa będzie tem większa, jeżeli nie ograniczysz się tylko na mnie, ale i innych pisarzy naszych, dla których krytyka miała trybularz i różgę, tym sposobem obrobisz.“

Jakkolwiek tak rozumnie i wytrawnie, a z godnością pisarza, czującego swój talent i powołanie, odzywa się o krytyce i o autorach, nie chce widocznie pamiętać, że recenzję Klaczki przechorował, że poprzednio niejednokrotnie czuł się niesprawiedliwością i zarzutami krytyki tak zniechęconym i zrażonym, iż... przychodziły mu „grzeszne myśli“ do głowy, aby raz z tem wszystkim skończyć. Pisał kiedyś do Karola Wittego: „Chociaż mnie to nie bardzo obchodzi, co o mnie piszą (list z 19 lipca 1839 r.), jednak dobrze wiedzieć i zupełnie obojętnym być nie można“.

Co innego w podobnych razach się mówi, a co innego czuje, gdy się jest autorem lub artystą, zależnym jednak bądź co bądź od tej krytyki, dobrej czy złej, ale urabiającej zawsze jakiś sąd i opinię publiczną; lekceważyć jej zupełnie niepodobna, prawować się z nią nie sposób, ale obojętnym pozostać i nieczułym na jej krzywdzący wpływ i dotkliwe ukłucia bardzo trudno i ciężko. Z tego względu ma się prawo wymagać od krytyki nie tylko znawstwa, ale i wielkiej etycznej podstawy charakteru.

Znaczną część listu Korzeniowskiego zajmują sprostowania i dopelnienia, które uważamy za stosowne przytoczyć w całości:

„1. Rozbiór *Prób dramatycznych*, sumienny i głębszy, zrobił Stefan Witwicki w „Gazecie literackiej“, zdaje mi się w roku 1827 czy 1828.

2. *Dwie Hrabianki*, o których było w „Gazecie Krakowskiej“, wystawione pod pseudonimem Korczewskiego, nie są moje. Nigdy nie podobnego nie pisał i w myśli nawet nie miał.

3. *Bitwa nad Mozgawą* i *Mieczysław Stary* są jedną i tą samą sztuką. Dramat ten napisany był w roku 1827. Data więc *Bitwy nad Mozgawą* t. j. r. 1838, którą na kar. 171 wyczytuje, jest błędna. Dramat ten, czwarty z porządku prac moich, nie poszedł wówczas do druku, że cenzor ówczesny Szydłowski, znany z powieści Kraszewskiego pod nazwiskiem Iglickiego, osądził go jako przeciwny rządowi, religii i moralności (sic!!). Surowość ówczesnych prawideł Cenzury i kary za przestąpienie ich przepisane, przestraszyły samego prawodawcę. Miał więc ów komitet cenzury być skasowanym, Szydłowski miał zostać bez miejsca, a starając się o moją posadę w Krzemieńcu, chciał mnie wysłać na sobole. Gdyby mnie był Pelczar nie wyratował i jako Rektor nie zabrał wyroku do siebie i nie odesłał do mnie dramatu i zdania Cenzora, prosząc, abym jedno i drugie schował, był-bym może nie strzelał soboli, ale wreszcie został-bym był bez chleba. Wieleż razy podobnie na mniejszą tylko skalę i z nie tak zgubnym skutkiem namiętność lub interes kieruje piórem sądzących o pisarzu i poddaje mu zdania, myśli i dążenia, których nigdy nie miał! Dla tych to okoliczności dramat ten leży dotąd i leżeć będzie, póki go w wielu miejscach nie przerobię, dla zatarcia nie tych grzechów kapitalnych, które tam widział Szydłowski, a których tam niema, ale niektórych grzeszków historycznych, które usunąć wypadnie.

4. Na tejże str. 171, raczy Pan Dob. sprostować jeszcze inne daty. *Mnich*, chociaż drukowany był dopiero w r. 1830, napisany był w r. 1826. *Dymitr i Maryja* w r. 1828 (a nie w 1838), a *Piękna kobieta* w r. 1829.

5. Na str. 165 między pracami mającemi zostawać w rękopiśmie wymieniono: a) *Teatr amatorski w Ciechocinku*. Tego niema i nie było. Gdy się tam znajdował dla kąpieli, prosiły mnie damy, abym dla nich jaką sztukę napisał. Odpowiedziałem im, że jeżeli chcą, napiszę im komedię pod wyżej wzmiankowanym tytułem. Panie zgodziły się, nie zrozumiawszy ironicznej intencji; oficjalny Correspondent którejś gazety wziął żart za dobrą monetę i tak powstała sztuka, o której ja

nie myślałem zupełnie. b) Dramat *Miłość i Zemsta* jest to samo, co *Dymitr i Marya*. Pod tym tytułem napisałem pierwiastkowo z przedmiotu Maryi dramat trzyaktowy prozą. Był wówczas w Krzemieńcu syn Cypryana Godebskiego, Xawery Godebski, z którym w bliskich żyłem stosunkach. Przeczytałem mu moją pracę, która chociaż mu się dość podobała, znajdował jednak, że należało ją przelać w wiersze. Był to jeden z zapalonych amatorów rymu, jeden z tych rymotwórców, którym „P. Fortunat“ dedykowany, a których *pokój proza truje*. Że to był człowiek mowny i miły, żem miał dla niego wiele przyjaźni, usłuchałem go i tym sposobem z rzeczy może dobrej, więcej ściśnionej, a zatem większego efektu, z rzeczy, która-by mnie była od razu podniosła na deski teatralne, przynajmniej we Lwowie, i dała mi większy rozgłos, powstał ów dramat rozwlekły, którego wiersz, *Cyganka* i piąty akt jest całą zaletą. *Miłość i zemstę* spaliłem, brulionu nie mam. Rzecz więc ta przepadła. c) Komedia *Skąpiec zakochany* jest, była raz grana w teatrze Rozmaitości, ale, że jest nie do rzeczy, cofnąłem ją po pierwszej reprezentacji i zarzuciłem gdzieś rękopism. Jeżeli go znajdę, spalę. d) *Zakład sumienny* Tragedya w 5 aktach jest rzeczywiście, ale leży i leżeć będzie. Jest to pierwszy i jedyny dramat, napisany pod wpływem dramatów francuskich, szczególnie Dumasa, który wówczas dopiero wpadł mi w rękę. Było to w roku 1837. Jakie więc może mieć znaczenie i o ile słuszną jest uwaga Przeddzieckiego, że imitacją „Katarzyny Howard“ jest *Piękna kobieta*, napisana w roku 1829, to łatwo widzieć. W *Zakładzie* tym przybrałem ton dramatów francuskich i umyślnie puściłem się na to wstrętne dla mnie pole z pewnych względów obrażonej miłości własnej, i dla przekonania tych, którzy z intencją wynosili przy mnie manierę i siłę Dumasa, że i ja potrafię także nie szczędzić delikatności słuchaczy i targać ich serce jaskrawem malowidłem. Wkrótce jednak odrzuciłem w kącie pracę, a nawet przerobiłem ją na komedię dwuaktową, która się znajduje w zbiorze Dwuaktowym, i którą ktoś, niech mu P. Bóg nie pamięta, nazwał wyższą od wszystkich komedyi Fredry! Do innych naśladowań, do łapania cudzych myśli, do chodzenia na cudzych nogach nie przyznaję się doprawdy. Dla tego czasem śmiesznem, a czasem przykrem wydaje mi się w wielu miejscach Pana Dobr. przypisywanie mi takiego małpiego talentu, jak gdybym własnego głosu nie miał, a tylko był ścianą odbijającą cudze i dającą ciekawe echo. I tak na przykład; *Młodą wdowę* napisałem w Charkowie w r. 1843, kiedym ani o asystencyi Bogusławskiego, ani o jego „Lwach i Lwicach“ nie wiedział. Bogusławski jest człowiek z talentem, ma właściwą sobie drogę, ale zanadto ma rozumu i dobrej wiary, aby sam nie wzruszył ra-

mionami, gdyby przeczytał to, żem go ja chciał naśladować. Toż samo z *Djabłem* Kraszewskiego. Plan *Wąsów i Peruki* na kilka lat przed ukazaniem się tej powieści był już prawie gotowy i czekał tylko chwili porodu. Inaczej się rzecz ma z Szekspirem i Szylerelem. Tych studiowałem od młodości i dotąd studiuję. Szekspira nie myślałem nigdy naśladować, biorąc ten wyraz w takim znaczeniu, w jakim on się zwykle bierze, bo gdzież jest głupiec, który-by się na to odważył. Naczytanie się Szylera odbija się w Anieli, to przyznaję, jest w *Dymitrze*, w pożegnaniu Maryi, gdy z domu ojcowskiego wychodzi, i jest nawet w *Mieczysławie*, czemu nie przeczę; ale odbija się w tonie, w formie, w sytuacji, ale nie w słowach. e) z *Blanki Orsino* napisałem tylko jedną scenę wierszem miarowym, więcej nie było i niema. f) *Kobieta uczona* jest to samo, co Autorka. Widać, że ktoś przekręcił tytuł i tak puścił w świat pogłoskę. g) *Jan z Tęczyna* jest w projekcie, napiszę go, jeżeli siły pozwolą i życia stanie. h) *Podróżomania*, komedia w czterech aktach, napisana w Nizy, znajduje się w Repertuarze tu-tejszem, i czeka łaski niełaskawej na mnie Dyrekcyi. i) *Rokiczany*, opery, zaczętej na prośbę Moniuszki, jest dopiero akt pierwszy. Nie wiem, czy rzecz tę dociągnę do końca: jest-to robota niewdzięczna, na którą szkoda pracy i myśli. Przytem uwagi w „*Czasie*“ krakowskim rzucone, chociaż bardzo słuszne, ale niewczesne dlatego, że się stosowały do mnie, jakgdybym ja nie był zdolnym domyślić się tego, że osobę *Kaźmierza W.* należy szanować, i nie dać mu szamotać się po scenie, zniechęciły mnie do kończenia tej pracy. k) *Pelopidowie*. Tragedya ta w formie zupełnie klasycznej, na pisana na prośbę jednej damy, niby odpowiedź na wyzwanie, w którym wynoszono tragedję klasyczną nad romantyczną dla trudności formy, datuje nie z roku 1821, ale z 1826! ¹⁾

¹⁾ Myli się przeto P. Chmielowski, utrzymując, że „trudno przypuścić, ażeby Korzeniowski w roku 1827 już po napisaniu dramatów w innej swobodniejszej formie, chciał wracać do tak krępujących, jak francuskie. Zdaniem mojem „*Pelopidów*“ odnieść tedy należy do najdawniejszej chwili twórczości dramatycznej Korzeniowskiego i uważać ich za pierwszą dochowaną do dziś jego tragedję, w której jedność czasu i miejsca i akcyi jak najskrupulatniej została zachowana, a długie retoryczne tyrady, antytezami wypełnione miały być jej ozdobą“. („*Nasi powieściopisarze*“ str. 31). W innym miejscu swego wybornego zresztą studyum o autorze „*Dymitra i Maryi*“ przypuszcza, że pierwszym utworem tegoż, granym na scenie warszawskiej, był „*Piąty akt*“ napisany w Kijowie 1833 r., jeżeli się pominie „*Pelopidów*“, „które podobno wystawiono w Warszawie jeszcze przed rokiem 1831. Otóż nie „podobno“, ale rzeczywiście 28 stycznia 1830 roku, wystawioną została po raz pierwszy na scenie

„6-o. *Zairę* Woltera przetłómaczyłem rzeczywiście w roku 1820, ale ta praca gdzieś zaginęła. *Intryga i Miłość* w tymże czasie przełożona i grana, musi gdzieś być w Repertuarze warszawskim. *Zielone Rękawiczki i Mizantrop* są zupełnie przerobione i spolszczone.

„7-o. Na tej-że stronie 165 powiedziano: *Okrężne na Litwie*, do datek ten „na Litwie“ jest niepotrzebny, bo to nie jest na Litwie.

„8-o. Na stronie 195 recenzent przypuszcza, że *Dziewczyna i dama* wcześniej pisana była, jak w r. 1848. Rzeczywiście napisana 1836.

„9-o. Ze wszystkich zdań najniesłuszniejszym znajduję zdanie o *Wąsach i Peruce*. Mnie się zdawało i zdaje się dotąd, że to nie jest treść *blaha*, że tam idzie *nietylko o golenie wąsa i zrzucenie kontusza*, że pod „Wąsem i peruką“ leży inne znaczenie, bo wąs nie jest tu *wyrazem niedołęztwa*, jak powiedział S. P. w Dzienniku literackim, na co Pan Dob. dodał: *śluszenie mówić!* Ale o to mniejsza. Musiałem źle myśl swoją wyrazić, kiedy krytyka pod symbolem sukni polskiej i francuskiej nic innego, jak sukno i aksamit dojrzeć nie zdołała. Sądzę jednak, że gdybym mógł tę sztukę wyprowadzić na warszawską scenę, publiczność tutejsza dopowiedziała-by w swojej myśli to, czego ja wypowiedzieć nie mogłem, czy nie zdołałem. O *Cyganach i Młodym mężu* wypadł także sąd niepomyślny, nawet ze strony Pana Dob. Szkoda mi „Cyganów“, bo ja pewny jestem, że gdybym miał trzy dobre aktorki, na Guldę, Jerni i Naję, gdybym miał aktora, który-by bez wykręcania oczów i machania rękami umiał głosem i postawą spokojną wydać tę siłę wewnętrzną, jaką dałem Nandze, nikomu z publiczności nie przyszło-by zapytać: *kiedy oni kraść przestaną?* Przynajmniej dziękuję i za

Teatru narodowego w Warszawie nowa tragedia p. t. „Pelopidowie“, o której w pięć dni później znajdujemy w Nr. 32 i 33 „Gazety warszawskiej“ obszerną recenzję podpisaną literą T. Krytyk rozbiera szczegółowo całą sztukę, chwali tylko akt I-szy, robi mnóstwo zarzutów i nie wymieniwszy ani razu nazwiska autora, zaznacza, iż publiczność przy końcu była obojętną, pomimo iż „najcelniejsi aktorowie wystąpili w tej sztuce, lecz wogólności widać było brak dostatecznego umienia roli, za którym poszła także i gra“. „To pewna,—dodaje,—iż aktorowie nasi traćni, brakiem czasu w tym względzie wynówić się nie zdołają“. Przeznaczając „Pelopidom“ miejsce poślednie pomiędzy utworami dramatycznymi, utwierdza się jednak w przekonaniu, że „przy talencie, jaki się w tem pierwszym (!) dziele autora dostrzedz daje, może tenże z czasem coś dobrego utworzyć“. Tragedyę Korzeniowskiego powtórzono następnie jeszcze 25 lutego i 23 marca tego roku. Wymienić się godzi, że z powodu zamieszczenia w „Kuryerze Polskim“ recenzji o „Pelopidach“, „Gazeta warszawska“ i „Kuryer“ nawymyślały sobie od „dudków i pawić“ przy tej sposobności. (*Przypisek autora*).

to, żeś Pan Dob. nie odezwał się wzgardliwie o tym wierszu miarowym, który nie może trafić do ucha zawziętych amatorów rymu, którym dedykowałem „P. Fortunata.“ Że umiem pisać wiersze rymowane, sądzę, żem dał tego dowody. I mnie rażą owe wiersze jedynastogłoskowe bez miary i rymu, jakich używał Kraszewski w „Witoloraudzie, jakich używa Paszkowski w tłumaczeniu Szekspira i inni. Ale czyż moje są takie? Publiczność postrzeżaby różnicę, gdyby je aktorowie wymawiali tak, jak się wymawiać powinny. Ale dosyć już o tem.“

W tymże samym liście dotyka Korzeniowski dwóch jeszcze bardzo ważnych kwestyi osobistych, których jedna o stosunku oryginalnych autorów do sceny kamieniem młyńskim ciąży jeszcze na sercu i talencie wielu piszących dla teatru; druga zaś dotyka najboleśniejszej sprawy w życiu Korzeniowskiego po wydaniu „Tadeusza Bezimiennego“ i „Krewnych.“

O sobie, jako dramaturgu, w ten sposób mówi:

„Co do dalszych prac moich i owego zachęcenia mnie, abym na pole dramatu wrócił, cóż powiem? Mam 62-gi rok. W tak późnym wieku nie łatwo się tworzy, nie łatwo płyną słowa z serca i obrazy nie kształcą się w imaginacyi z taką żywością barw i ulotnością form, jak w wieku młodszym. Wszakże nie złożę pióra, póki mi je śmierć z rąk nie wytrąci. Powieści większych rozmiarów nie napiszę już żadnej, bo mnie ta forma znużyła. Zresztą pozorną jej łatwość wywołuje na to pole robotników, których nieudolność podniosła słuszne poniekąd krzyki i na sam rodzaj, i z któremi nie zawsze miło stać w jednym rzędzie. Drobnych powiastek nie zarzekam się, bo lubię ten rodzaj kompozycyi. Jest on trudny, choć szczupłe ma granice, i dlatego może dla mnie pojętny, że nie mam współzawodników. Żłem się, zapewne, w przytoczonej przez Pana Dobr. strofie z P. Fortunata wyraził, gdyś mnie P. Dobr. posądził, że mnie krytyka zbiła z pola dramatycznego. Nie, Szanowny Panie! nie krytyka, ale Dyrekcyja jednego naszego teatru, na którym prace moje nie przedstawiano z tą dobrą wolą, z jaką powinny być przedstawiane dla własnego jej interesu, i dla zachęcenia mnie w pracy i postępie, rzuciła mnie na pole powieści wyłącznie. Zostałem, jak kompozytor bez orkiestry. Dla drobnych zazdrostek, dla błahych powodów, o których mówić nie warto, usuniono moje sztuki z Repertuaru. *A choć je po kilku latach wrócono, zawsze muszę się wpraszać na scenę, którą chciałem, a śmiem powiedzieć bez samochwalstwa, mogłem zasiać lepiej, niż kto inny.* Wszakże i ta niesłuszność nie zraża mnie zu-

pełnie. Zrobię jeszcze dla teatru, co Pan Bóg da, na co sił stanie. Mam nadzieję, że dłużej żyć będę, niż dzisiejsza Dyrekcyja, niż dzisiejsi aktorowie, co chociaż zręczni i nieźli, ale uroili sobie, że rzeczą ich jest: nie grać dobrze, ale surowo sądzić autorów, którzy dla nich piszą. Jak przyjdzie inny czas, inni ludzie, sądzę, że i moje sztuki wyjdą z ukrycia i pokażą, że nikt więcej ode mnie sceny naszej nie kochał, i nikt goręcej jak ja zaszczytu jej nie pragnął.“

Warto-by było, aby te słowa trafiły do serca i rozumu tych, którzy powołani są służyć sztuce i kierować jej instytucyą, do artystów i dyrektorów, i reżyserów każdej sceny polskiej, traktujących często autorów dramatycznych, jak... tabakierę, z którą nos, według przysłowia, nigdy co do praw swoich porozumieć się nie może.

Najważniejszym z całego listu ustępem wydaje się nam niejako wyznanie wiary Korzeniowskiego w odprawie, danej Klacze, i w odparciu stawianych mu zarzutów. Raz już w „Złotykh kajdanach,“ satyrycznej tragi - komedyi, poszukał sobie odwetu za napaść zbyt gwałtowną i namiętną Klaczki, stawiającego autora „Krewnyc h“ pod pręgierz, za jego rzekome tendencje społeczno - polityczne; w osobie znakomitego krytyka Centaurowicza, który włada „tak zręcznem piórem, że równie dobrze pisze tak i na wspak,“ a choć się w pismach jego „zdarza często blaga i paradoks, lecz jest i dowcip czasem, rozum zawsze,“ pragnął naszkicować duchową fizyognomię swego Zoila.

Chmielowski i Bełcikowski w swoich studyach o Korzeniowskim, ujęli się słusznie i szlachetnie za pokrzywdzonym autorem; pierwszy z nich zauważył, że „przecież nie mógł odpowiadać on za to, iż nie był entuzystą, lecz rozważnym spostrzegaczem, ani też za to, że w umyśle krytyka pojawiły się widma, które w myśli autora nie powstały wcale. Nietrafnym może był wybór środka poprawy Eugeniusza i Pawła, zwłaszcza, że aż w zdwojonej postaci zjawiał się w jednej powieści; ale nie była nietrafna myśl, która mu go poddała: karność, znoszenie trudów, wystawianie się na ciągłe niebezpieczeństwa, gotowość na śmierć, a więc i zdolność do poświęcenia; to są wpływy, które na duszę znieprawioną, a w gruncie zącą, podziałać mogą uzdrawiająco. i uczynić ją zdolną do odrodzenia się.“

Najwymowniej zastrzegł się jednak sam Korzeniowski przeciw podsuwaniu sobie intencji i dążeń, których nigdy nie miał, i w nikogo wpajać nie pragnął.

Oto, co pisał do Estreichera w tym drażliwym przedmiocie:

„Znajdowałem zawsze śmiesznem ze strony autora, kiedy chce wyperswadować tym, którym się praca jego nie podoba, że nie mają racyi. Często oni nie mają racyi, to prawda, ale częściej nie ma jej autor, zwłaszcza taki, który pisze wiele, a zatem nieraz z nałogu pisania, a nie z prawdziwego natchnienia. Przytem u nas daleko wygodniej jest dla sławy pisarza wystąpić tylko raz lub parę razy z czemiś obiecującym dalsze arcydzieła, a potem usunąć się pod namiot, jak Achilles, i milczeć. Nazwisko, zbyt często jawiące się na tytułach książek, budzi pewną niechęć, podobną do tej, jaką powziął niegdyś ów szewc ateński do nazwiska Arystydesa. Ja, przyzwyczajony do sądów najróżnorodniejszych, ostrzelany z pochwałą i naganą, ani się cieszę zbytęcznie pierwszą, ani się martwię drugą. Lubię sprawiedliwość, miło mi, gdy spotkam się ze zdaniem rozumnem, wykrywającym trafnie i moją myśl, i moje intencye, ale się nigdy nie gniewałem na nikogo za żadną krytykę, anim się z żadnej nie tłumaczyłem. Kto produkuje publicznie swój talent, oddaje go na pastwę publiczności. Tytuł na dziele, jest to szyld na karczmie. Wolno tam wejść każdemu, chodzić w czapce i świstać. Ale mam się za człowieka uczciwego, za kochającego nadewszystko swój język, swoich ziomków. A chociaż nie oszczędzam ich śmieszności, i mówię im śmiało prawdę, *nigdy jednak nie zaszczipiałem im zgnilizny obyczajów, ani pod względem politycznym, gdyż w to nie wdaję się wcale, nie sprowadziłem ich na krzywe i fałszywe drogi* Stąd łatwo Pan Dobr. wniesiesz, jakie wrażenie sprawiło na mnie niespodziewane wystąpienie Klaczki, i wywód zręczny, ale niesumienny moich Grzechów przeciw sumieniu polskiemu. Klaczko jest człowiek znakomitej nauki, wielkich zdolności, to mu chętnie przyznaję, ale okazał złą wiarę i niezajomość naszego położenia. Przesiąkł on zarozumiałością zachodnią, ów splin emigrancki, który im każe widzieć u nas wszystko ze złej strony, chciał zapewne pokazać zręczność Karreadesa w obliczu niektórych pseudopatriotów paryskich, których dawniej smagał potężnie, a którym dziś swojego pióra i talentu pożyczył. Nikt ze znających mnie i moje uczucia nie uwierzył zręczności, i wrażenie, jakiegom doznał, złagodzone zostało szacunkiem i przychylnością tych wszystkich, którzy mnie znają i tu, w Litwie, i na Wołyniu, i na Ukrainie. Byłoby inaczey w Galicyi? Jest-że to, co wyczytuję w relacyi Pańskiej: (str. 166) „Pokuszenie uwieńczone dość szczęśliwym skutkiem,“ odgłosem publiczności? Byłoby to dla mnie prawdziwe zmartwienie, bom się urodziłem w Galicyi. i chowam wdzięczność dla Lwowa, którego scena pierwsza podniosła moje imię. Nie dziw się więc Pan Dobr., że mnie słowa te i ten dodatek, „że miał za sobą nieco słuszności,“ najmocniej dotknęły z tego wszystkiego, com niepochlebne, lub niesłuszne o moim talencie pi-

sarskim w pracy Pana Dob. wyczytał. Sądzę jednak, żeś Pan Dob. napisał to pod wrażeniem tej zręczności, która może niejednego na chwilę uwiiodła. Wszakże mam nadzieję, że Pan Dob., któryś tyle nademną pracował, znasz mnie lepiej, niż inni, i jeżeli koniec powieści mej jeszcze kiedy odczytasz, przekonasz się, że tam nietylko *nieco* słuszności, ale nawet *nieco* pozorów do rzucenia na mnie takiej klątwy nie było.“

Na tym głosie z po-za grobu, którym broni się i usprawiedliwia sam autor „Krewnych“ i „Tadeusza bezimiennego,“ zamykamy nasz artykuł o pisarzu, który pragnął „drogami rozumu, pracy i nauki“ prowadzić swoje społeczeństwo do najżywoźniejszych celów, a który obawiał się dla niego wszelkich ryzykownych a niebezpiecznych środków, znając nasze usposobienie i wiedząc, że:

Zapłonąć nam nie trudno. Rzecz drobna, chwalebna,
 Nawet pokaźna, tylko, choćby niepotrzebna,
 Zapala nas odrazu. Buchamy płomieniem,
 Póki trud i powinność świeżem jest zachceniem.
 Gdy skutek ich przeszkoda jakabądź obala,
 Jak spirytus, ten zapal całkiem się wypala.
 Nudzi nas, co służyło zrazu do zabawy
 I zimniejszymi czyni dla najlepszej sprawy.

M. GAWALEWICZ.

Sprawozdanie Komisji do badania historii sztuki w Polsce za rok 1895 (Wydawnictwo Akademii Umiejętności w Krakowie) — przez W. Gersona	368
Alfred Konar „Pierwsza miłość“; — Exterus „Po zdrowie“ — przez W. Bukowińskiego	372 i 376

Kronika zagraniczna.

<i>Galiczyjska</i> — przez U. — Ruch umysłów wśród ludności włościańskiej, występujący od dwóch lat w Galicyi. — Główne momenty z dziejów stosunków włościańskich od 1848 roku. — Wpływ oświaty ludowej. — Agitacja w imię popierania interesów włościańskich. — Ks. Stojałowski. — Roboty socjalistyczne. — „Związek chłopski.“ — „Stronnictwo ludowe.“ — Projekt ustawy, wprowadzającej nową ordynację wyborczą dla trzydziestu miast większych w Galicyi. — Projekt regulacji górnego Dniestru. — Projekt zmiany ustawy drogowej. — Spekulacje na kupnie majątków ziemskich i na terenach naftowych. — Ułatwienie kredytu obrotowego dla rolników w banku austro-węgierskim, — Warunki kredytu wekslowego w instytucjach kredytowych w Galicyi. — Zmiana redakcyi „Rolnika.“ — Restauracja katedry łacińskiej	44
<i>Paryska.</i> Rozdanie nagród w Akademii francuskiej. — Prace o Ronsardzie Augusta Devaux i Alberta Thibaudet. — Rajmunda Thanin Porównanie rozprawy Cycerona „O powinnościach“ z rozprawą ś-go Anibrożego. — „Regards intimes“ Pomarelsa. — Bernardin o „Trystanie l'Hermite“ i jego tragedyi. — Dzieło p. Hanoteaux o kardynale Richelieu. — „Jan Jakób Rousseau i początki kosmopolityzmu w literaturze“ przez p. Texte'a. — Książka p. de Lancaze de Labadie „O panowaniu Francuzów w Belgii. — Dzieło Gastona Meaugras o księciu de Lauzun. — Nagroda fundacyi Vitet za opis podróży p. Bazin. — Przemówienie pani Dieulafoy przed przedstawieniem „Persów“ Eschylosa. — „Rodzina Wandejska podczas wielkiej wojny (1793 — 1795),“ przez p. Bontillier de St André. — „L'ame antique,“ p. Marka Legrand. — Towarzystwo etnografii narodowej. — Korrespondencya Irospera Merimée ze wstępem Ferdynanda Brunetiére. — Rozprawa Lemaitre'a o „snobizmie.“ — Renego Doumic'a „Zarysy teatru współczesnego.“ — Przyjęcie do Akademii Anatola France. — Przeniesienie zwłok Pasteur'a i mowa Legouvégo	244

- Lonczyńska* — przez E. S. Naganowskiego. — Przygotowania do jubileuszowego obchodu 60-letniego panowania królowej Wiktorji. — Spodziewany zjazd reprezentantów dynastji. — Chmury na politycznym widnokręgu brytańskim. — Usiłowania utrzymania pokoju. — Zjawienie się czarnej damy w komnatach Windsoru. — Kwestya szkolna w parlamencie. — Posiedzenie Komissji parlamentarnej w sprawie Transwaalu. — Dzieje „missji polskiej“ w Londynie. — Przekłady powieści Śienkiewicza. — Odkrycia metalurgiczne p. Modesta Maryańskiego w Australii 518

Kronika miesięczna.

- Styczeń.* Widoki pokojowe na rok 1897. — Jubileusz Adama Asnyka. — Projekta reformy w organizacyi filantropji, poruszone przez prezesa Towarzystwa Dobroczyńności, ks. Michała Radziwiłła. — Życzenie wyrażone przez Ministerjum spraw wewnętrznych, aby zarządy miast możliwie ograniczyły koncesyjne załatwianie potrzeb miejskich, a natomiast organizowały przedsiębiorstwa na swój rachunek. — Dwudziestopięcioletni jubileusz Towarzystwa Kredytowego miejskiego. — Głos „Gazety polskiej“ w sprawie potrzeby kredytu hipotecznego dla drobnej własności ziemskiej w Królestwie Polskiem. — Chwiejność danych i poglądów na różnych zjazdach i posiedzeniach ekonomicznych. — Zjazd taryfowy w Petersburgu. — Dwa konkursy Paderewskiego i konkurs „Głosu“ 171
- Marzec.* Zmiany w zarządzie Królestwem. — Głosy prasy rosyjskiej. — Odczyt prof. Spasowicza. — Sprawy domowe. — Pomnik Mickiewicza 577

Wiadomości bibliograficzne.

- Styczeń 183
 Luty 379
 Marzec 572



F

7083

F
7083